



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

SILA I SŁABOŚĆ UCZUCIA.

Do rzeczy bardzo pospolitych należy sąd o uczuciu, w którym jako criterium siły postawioną jest—słabość!... Matka kochająca dziecko do słabości... mąż słaby przez miłość dla żony...—są to wyrażenia przyjęte, które słyszy się bardzo często, i na które ogół godzi się poniekąd, skoro utrzymują się i krążą pomiędzy nami, określając pewne anomalie życia, które bez pomocy tego paradoxu zrozumieć-by się nie dały. Stwierdzają one fakt widoczny, zaprzeczyc się niedający; że przecież sprzecza się on z rozsądnym pojęciem, że rozumnie wytłomaczyć się nie daje, stworzono mu powód, przyjmowany z dobrodziejstwem prawa, to jest z majątkiem takim, który nie płaci niedoboru długów, na wartość jego zaciągniętych. W sile uczucia wykazującej się niemocą, niedobór znajdzie się natychmiast, skoroby tylko obrachunek uczyniony został. Kiedy wielki myśliciel chrześcijan skłonił woła: „Miłość mocną jest jak śmierć!...“ każdy rozumie, że uczucie to, w sile swojej ogromnej, jest tak potężnym i bezwzględnym, jak owa kosa śmierci, której nic nie wstrzyma, nie nie uprosi—która, sięgając po swój cel, na nic pobożnego się nie ogląda, z niczem wugodę nie wchodzi. I takim też jest, takim koniecznym być musi, wszelkie ukochanie prawdziwe, wielkie, głębokie; a że dla przedmiotu miłości swojej pragnie ono możliwego dobra, to jest jego szczęścia i godności, że według starego wyrażenia chce mu ku ziemi niebo przychylić—rzecz to już niewątpliwa i tak naturalna, że miłość inaczej pojąć się nie daje.

Raczej przemoc niż niemoc przypuścić można w miłości silnej i gorącej. Mocna, jak najwyższa nad życiem ludzkim potęga, ma tak w naturze swojej przed złem bronienie, dobra przyczynianie jak ofiarę, jak poświęcenie się dla ukochania swojego, i czyż ktoś mocno kochający mógłby nie skoczyć w płomień, nie rzucić się w tonie wody najgłębszej, ratując od zatury ten przedmiot miłości swojej, któryby się tam samobójczo na zagładę wydał? Nie! stokroć nie!—zawoła każdy, kto sam kochał kiedykolwiek, i tak też dzieje się z samobójstwem moralnym drogich nam istot. Ratujemy je, choćby krwawiąc sobie serce i ręce: dźwigamy z upadku, do złego zejść im nie pozwalamy i z prawdą szczerą, rzeczywistego uczucia, stokroć łatwiej godzi się wtedy nawet walka—zacięta, namiętna, najgwałtowniej toczona, niż miękkie przyzwolenie na nieszczęście drogiej nam istoty: słabość, która się ze swojej władzy rozbiera i wykonywać jej zaniedbuje, wobec groźb złego biernie się trzyma—rzekomo przez wielką siłę uczucia!...

Stan taki ma genezę inną i wręcz założeniu pierwszemu przeciwną: jest wpływem, nie miłości innych, ale miłości siebie, egoizmu naszego, który na żadną stratę się narazić, żadnej ofiary i trudu ponieść nie chce. Kochamy wprawdzie, ale kochamy na swoje korzyść, na swoje dobro: serce nasze pragnie tylko używania wrażeń słodkich, rozkoszą pojących—chce za miłość, którą daje, otrzymać zapłatę szczęścia, i raczej na niedolę ukochanych swoich zezwala, niżby sobie to szczęście miał zamacierać przez starcie, przez opór, zakłócający mu pogodę widoków jego miłości. Czyni się to dla *miłego spokoju*; wtedy już mąż nie przeciwstawi się lichym upodobaniom żony, które ją poniżają, które ją nicścią moralną robią i grożą, czy zmniejszonym szacunkiem u ludzi, czy poświęceniem przyszłości dla używania chwili obecnej; żona również już się wtedy mężnie, dzielnie, ofiarnie nie rzuci

między męża a złe namiętności, złych nawyknień nabywanie—już mu nie będzie aniołem przewidywania, który ostrzega, broni, fałszywego kroku nie dozwala, a złą drogę zastawia więcej niżby piersią własną, bo zmaconą miłosnego szczęścia, harmonią, nieraz zupełną miłosnego uczucia zagładą, nieraz nienawiścią nawet.

I tak jest w każdym ukochań ludzkich stosunku: tak jest między bratem i siostrą, między dwojgiem przyjaciół, między rodzicami i dziećmi. Kto kocha—nie siebie i nie dla siebie, na własne używanie uszczęśliwiających serca uderzeń, ten nie kocha miękko, nie kocha biernie, leniwo—ten jest zawsze w miłości swojej mężnym, zawsze mocnym, a nigdy... nigdy przez tę miłość słabym się nie staje.

Najwyraźniej, najdowodniej wykazuje się ta prawda przy miłości matki dla dziecka. Która matka silniej kocha? Czy ta, która dziecko do wyższych w życiu przeznaczeń, do pewniejszego szczęścia i szlachetniej pojętej godności człowieka kształci—troskliwie, pracowicie, nieraz ciężko, z wielkim trudem, z wielkim sił wydatkiem wyrabia; czy ta, która ze swego macierzyńskiego chce sobie uczynić słodkie używanie miłych wzruszeń serca, i za życie dane tej istocie u łona swego wykołysanej dziesięcinę przyjemności wybiera? Każdy czuje, że tam miłość pełniejsza, tklliwość większa, kochanie mocniejsze, bo nie samolubne, gdzie odbywa się praca dla przyszłości, w której dziecko już się poniekąd od matki oderwie—i ta, która dla tej przyszłości terazniejszości nieraz poświęcić umie i chce, może—ta jest przez serce ową matką prawdziwą, która na sądzie króla Salomona nie dała dziecka swego rozciąć okrutnie.

Że mnóstwo matek kocha dzieci jako rzecz swoją, jako źródło własnych przyjemności, dostarczając takiego przykłady wszyskie te małe stawa strojne w atłasy i aksamity, które gorszą i smućą ludzi poważnych wystawą spaczonych

gustu, i skarykaturowanego przez elegancją wdzięku natury. Czy przecież dzieje się to nie dla próżności, nie dla pychy matek, nie dla ich chęci zaznaczenia stanowiska swego, lub lichy przyjemności bawienia się w lalki żywe? Dziecko małe jeszcze tych wszystkich wad i małodusznych chęci mieć nie może, chyba, że mu będą sztucznie zaszczerpione, zatem wolałoby zapewne swobodę, której wytworna sukienka nie krępuje; wygodę, której mu nie odbiera — woli to nad wszystkie owe gałganki modne, w które jest ustrojonym na wyłączny i jedyny benefis próżności macierzyńskiej, macierzyńskiego zamiłowania elegancji.

Jak te pióra i szarfy, których ani zdrowie dziecka, ani żaden jego interes nie wymaga, a które czynią zadość tylko jakiejś potrzebie matki, tak większa część psujących pieczętów ma źródło podobne, i służy za dowód, nie miłości tak silnej, że aż staje się słabą, ale miłości w dośłownym znaczeniu słabej, bo poddanej egoizmowi — słabej, bo nie potrafiła podnieść kobiety nad jej braki i małości, nie potrafiła jej uszlachetnić, ducha jej udostojnić, serca z samolubstwa oczyścić. Znałam bardzo ubogą kobietę z ludu, stokroć biedniejszą, niż gdyby była wdową, bo męża miała daleko, tak daleko, że ani do niego zajść, ani dojechać nie była w stanie, która temu mężowi co miesiąc małą sumkę ciężko uzbieranego grosza posyłała, utrzymując siebie i siedmioletniego synka z ciężkiej pracy praczki. chowała go jednak bardzo starannie — o jego zdrowie, o czystość jego odzieży, i co więcej, o jego naukę niezmiernie troskliwa. Po wyjściu z ochronki zaczęła go posyłać do szkółki prywatnej, więc na jej zasoby wiele kosztowniejszej, pytając się już zawczasu ludzi inteligentniejszych, którym ufała, co, i jak uczynić z nim powinna, gdy ją skończy? Gdy tymczasem dziecko, będąc raz z nią w domu, gdzie ją do prania najmowano, nie z chęci kradzieży zapewne, bo chłopiec nie okazywał nigdy złych skłonności, ale ot tak, przez dziecinną chęć zabawki, przez dziecinną nieświadomość znaczenia swego postępków, wziął kucharce miejscowej kolorowy obrazek Matki Boskiej, i w swoją książeczkę od czytania schował. Matka pierwsza rzecz spostrzegła i krzyknęła żałośnie, aby zaraz potem przystąpić do ukarania małego winowajcy, czemu daremnie przeszkodzić usiłowano. — A cóż, jeżeliby miał być z niego kiedyś człowiek nieuczciwy, gdyby miał kiedyś przynieść wstyd ojcu? zawołała. — Wolałabym, aby mi tu umarł natychmiast... jęknęła ta matka przywiązana, ta ciężko na jedyne swe dziecko pracująca, z takim trudem, z taką troskliwością miłosną zajmująca się jego wychowaniem matka. I była taka tragiczność w tym jej wyroku surowym, taka powaga wzniosła w jej głosie drżącym, że nakazała wszystkim uszanowanie dla woli swojej. Chłopiec ukarany został jej własną ręką, a gdy z niej różga wypadła, ona, siadłszy w kącie kuchni na jakimś kuferku niskim, płakała — gorzko, ciężko płakała, chłopiec zaś, stojąc w kącie drugim, patrzył na nią, i bynajmniej nie z bólu, bo ten już minął, płakał też rzewnie.

Ona lała łzy nad cierpieniem, które mu zadać musiała, on nad temi jej łzami, które dla niego z oczu drogich płynęły, — i chwila ta zapewne nie z pamięci chłopca nie wyjdzie i, nigdy nie zapomniana, stanie może nieraz między nim i jakąż życia pokusą — stanie jak anioł stróż, urodzony z łez matki, która umiała kochać dziecko swoje mocno!

Była kobietą prostą i chowała syna poprostu, używając środków karności prostej, ale chowała go w szlachetnym pojęciu cnoty, w szlachetnych zasadach uczciwości, a zapewne syn jej rozumiał z wiekiem, jak jej musiał być drogim, nie dlatego jedynie, że go nieraz tuliła do piersi, nie dlatego nawet, że go żywiła chlebem od ust swoich odjętym, ale że umiała nagle stać się przez mężny wysiłek woli surową, gdy trzeba było walczyć o niego z podszeptami złych instynktów.

Ale ktoś powiedzieć może, że są natury słabe już przez charakter; miękkie przez temperament i te nie są zdolne wydobyć z siebie energii

dzielnej, woli silnej. Tak, niestety, są takie... tylko nie trzeba wprowadzać zamętu w pojęcia nazywając je słabymi przez siłę uczuć. Siły uczucia bynajmniej w nich niema: słabymi są, i będą zawsze, we wszystkim — istoty do niższej hierarchii duchów należące, bierne i bez zapału.

Miłość zaslepiona to także nie z mocy, ale ze słabości uczucia nabyte kalectwo. Pycha nasza, samolubne naszego ja uwielbienie nie pozwala przypuścić, aby to, co przez miłość do nas należy, więc z nami jest zjednoczone, mogło być ułomnem, mogło być niedoskonałem. Zabezpiecza to razem i szczęścia używanie, czy przecież nie egoistyczne? Otrzymujemy pełnię spokoju, toniemy w słodkim zadowoleniu serca, ale tracamy najświętszy i najdosłójniejszy obowiązek miłości: nie dajemy duszy za drogą nam istotę, nie stajemy jej do pomocy w braku, nie wspomagamy jej mieniem naszym, nie rozdieramy sobie piersi, aby ją złemu odebrać, w dobrem umocować. Miłość prawdziwa, uczucie głębokie musi mieć wzrok jasny i oczy otwarte, widzieć wszystko, a mimo to serca nie tracić, i tylko między złem a ukochaniem swoim nieprzebytą zapórę zbudować i w tym zasięku o nie walczyć do siły ostatniej. Tak kochać jest obowiązującą matką, taką powinna być miłość siostry, żony — troskliwą, czujną, w chwili ciężkiej do pomocy, do obrony gotową. Żmichowska wytłomaczyła sobie przepięknie myśl opery Meyerbeera: „Robert Dyabel”. Miłość kobiety: przyjaciółki i kochanki zbawia przeznaczoną na potępienie człowieka, staczając o niego bój ciężki, aż odkupiony przez ich ofiarę mężną, z siel Piekła wybawiony na zawsze, święci tryumf szczęścia swego i cnoty.

Sztuka użyła nieobliczoną ilość razy takiego motywu: wybawienia przez miłość, bo jestto osiągnięciem najwyższego ideału uczucia, gdy do takiego szczytu siły dochodzi, i nigdy to miłości nie będzie świadectwem mocy, ale słabości, jeżeli kocha z przyzwoleniem na złe, jeżeli kocha aż do przeczenia złego. Niel... przeciw potędze tego zła do walki wystąpić i bronić przed niem do ostatniego krańca możliwości, dojrzeć je i zwyciężyć — to dopiero wysokiej i silnej miłości dowód.

Odbierzmy miłości tę idealność, przez którą ducha godność ukochanej istoty jest nam równie, a może nawet więcej, niż ona sama, drogą — jest nam równie, a może więcej, niż jej wzajemność, niż nawet jej szczęście do szczęścia naszego potrzebną — a sprowadzoną ona zostanie do wspólki interesów i będzie egoizmem we dwoje.

Któż nie wzruszył się do samej głębi serca nad tę matkę węgierską, która w przeddzień tracenia jej jedyne syna uczuła nagle trwożę, zali biedak nie utraci naraz siły ducha, uczącej umierać spokojnie — i dopuściła się świętego kłamstwa?

— Słuchaj synu... jeżeli jutro mieć będę na sobie suknię białą, to życie darowanem ci zostanie — rzekła w wigilię dnia okratnego, i biało przyodziana, z rozpaczą w piersi, a pogodą na czole, stała na balkonie, koło którego skazany na plac śmierci przejeżdżał. Więc młodzieniec zaśmiał się do niej wesoło i nie błąd już, nie drżący szedł ku przeznaczonemu swojemu, umierał jeszcze z tym uśmiechem na ustach!

Czy ta matka bohaterka nie kochała dość? A jednak kochała ona z możliwym przewidzeniem zachwiania się, upadku, zejścia z tej drogi, na której pragnęła widzieć syna swego, kochała bez pobłażliwej zgody na taki stan ducha — ta mocna, której nie zesłabiła siła jej uczucia.

M. Ilnicka.

BEZ SERCA.

OBRAZEK Z ŻYCIA.

(Dokończenie).

Bolesław był już zdrow zupełnie i stosunek doktora Horwarta w domu państwa B..... z ko-

nieczności warunków towarzyskich musiał uleść pewnej zmianie. Nie mógł już Stefan zachodzić kilka razy dziennie, jako troskliwy o pacjenta lekarz; wystąpił zatem jawnie, jako pretendent do ręki Zofii. Rodzice jej, uczciwi ludzie, starej daty, wysoko ceniący obowiązek i świętość małżeńskich węzłów, już i tak nie byłiby mu chcieli dać córki, jako rozwodnikowi, mówiąc sobie: „W takich razach trudno dojść, kto tu winien.” Zasyłane pogłoski o tragicznej śmierci żony zwiększyły jeszcze uprzedzenie. Nawet nie wierząc najcięższemu zarzutowi, czuli do Stefana odrazę, bo młoda, pełna życia kobieta, która umiera przed ukonowaniem rozwodu, wygląda zawsze na ofiarę i mimowolnie budzi litość ludzką.

Niepomni na dług wdzięczności zaciągnięty przez uratowanie życia ich synowi, traktowali Stefana chłodno i ceremonialnie. Nie słuchając żadnych wywodów i tłumaczeń, w obawie o los i przyszłość dziecka, działali z uporną zacietością przeciw człowiekowi, który nie umiał być dobrym mężem i lekkomyślnie rwał zaprzysiężony obowiązek.

— Rozwodnik jest. Tego już dosyć. Jak doprowadził jedną żonę do śmierci, tak przy swojej twarłości serca... mógłby postąpić i z tobą: porzucić cię i poświęcić samolubnie.

— Nie zgodzę się nigdy na to małżeństwo! — brzmiała stanowcza odpowiedź pani B.

Tak minęły dwa lata wśród ciężkiej atmosfery naprzężonych stosunków; obie strony znurzone już były; jedna tylko Zofia nad podziw okazywała spokój. Stefan pobladł, posmutniał; duszę nurtowała mu walka otwarcie już z rodzicami ukochanej kobiety prowadzona; upatrywał już i w Zofii zgryzoty starannie przed nim ukrywane.

— Odwagi i cierpliwości najdroższa! — mówił do niej błagalnie.

— Stefanie mój, nadzieja — to już ukazujący się choć w dali cel; żyć nią można lata i oddychać lekko, swobodnie. Wszakże oboje wolni jesteśmy, a moje serce bije tylko dla ciebie!

Ale miara cierpliwości pani B., despotycznie, domem, mężem i dziećmi rządzącej, już się była do dna przebrała; bez głośnego wypowiedzenia swych planów, postanowiła stanowczo rozdzielić to dwoje mężnie z nią walczących. Raz, gdy Stefan, powołany przez obowiązki lekarza, wydal się na dni kilka za miasto i tęskny powracał do swojego skarbu, należącego doń przez moc wzajemnych uczuć, usłyszał u drzwi mieszkania państwa B.

— Państwo wyjechali; niema nikogo!...

Oniemiał, jak gromem rażony, i w tej chwili dopiero poznał smak trucizny, zgotowanej przez oszczerców. Zrozumiał, że nielogiczne uprzedzenie niechętnych mu państwa B zbudowało z krzącących o nim plotek i zjadliwej śliny ludzkiej wał, który miał go nazawsze odgradzić od ich córki. Całe piekło niedobrych uczuć powstało w duszy tego człowieka, zranionego w godności osobistej; uniósł się wstrętem i zawzięcia ku rodzicom Zofii.

— Słabi i poddający się ślepo temu, co słyszą! — syknął ze zgrzytem zębów. — Jedna tylko Zofia, iczas łagodzący wszystko mogą mnie pojednać z nimi.

A Zofia?!

Ona, nieboga, w początku powstałej nawałnicy, po gromadnym zebraniu się rodziny, ze zdwojoną energią odpierała pociski rzucone na Stefana, broniąc jego i swej sprawy mężnie — ale role się zmieniły, przechodząc w nastrój tragiczno-czuły, i z uniesionej gniewnie matki stała się „mater dolorosa” — oplakująca rzewnie nieszczęsną dolę córki. Wtedy, słysząc wokoło siebie szepty ubolewających ciotek, niewyczerpanych w dowodzeniu niebezpiecznej przyszłość w małżeństwie ze Stefanem, Zofia milkła zwolna w tym chaosie słów, spazmów, omdlewań, i jak pod wpływem przeciążonego elektrycznością powietrza, zapadała zwolna w stan moralnego znużenia, apatii. Rodzice troskliwi o jej zdrowie a pragnący ją oderwać od Stefana, wywieźli ją na wieś. Ale ona przy całej promienności krajobrazów wiejskich, wśród pól i las i liczne otoczenia znajomych i krew-

nych, usiłujących ją rozbawić, czuła się samotną i złąkaną, jakby w poplepszej puszczy.

Lato minęło; słotna jesień nadto przykro dawała się odczuwać na wsi; pomysłano więc o powrocie do miasta, ale tymczasem dla rozzerwania Zofii wybrano na pobyt zimowy Wiedeń, dokąd i matka się wybierała dla poratowania nadwątlonego zgryzotami zdrowia.

Czuła opieka rodziców, przy akkompaniamencie łez rzewnych matki, nie budziła w Zofii uznania.

— Sąż to łzy bólu rzeczywistego, czy skłonność natury do ich wylewania? — myślała z złością goryczą. — Czemu ja tak na zawołanie płakać nie mogę, a zapewno nie mniej cierpię od nich! O wiele lepiej-by mi było.

Już kufry, własnoręcznie przez panią B. spakowane, stały gotowe do drogi; ona sama po zbyt niemiernym utrudzeniu spoczywała na wygodnej kanapie i sen krzepiący skleił jej powieki. Zofia, z robotą w ręku: śledziła twarz matki przywiedłą, pukle siwiejących włosów spadały na czoło; w zmarszczkach na skórze, w ostrych liniach wyłobienia czytała Zofia przejścia lat wielu. Znała już sama moce dręczące; z miękkim więc roztkliwieniem wpatrywała się w te rysy wydatne, szukając śladów cierpień obecnych, prawdziwych czy urojonych, ale dojmujących tę starzejącą się kobietę, która od poczynku już potrzebowała. Cisza otaczająca Zofią dokoła nasunęła jej pamięci noce trwożnej niepewności o brata, i zdawało jej się w tej chwili, że tak samo pilnuje ciężko chorej matki i drży o jej zagrożone życie.

I drżała cała. Podniosła się szybko z zajmowanego miejsca. Ruch jej zbudził panią B. Otworzyła oczy, zwracając je łagodnie na zbłądłą twarz córki, i zawołała:

— Co tobie?

— Matko! — zaczęła Zofia pod wpływem myśli zdrowiem zaniepokojonych. — Wszakże ty naprawdę współczujesz mojej boleści?

Czemu więc raz już nie skończysz swoich i moich męczarni, przywołując Stefana do mnie?

— Nigdy! — porywczo krzyknęła pani B. — Póki mi życia starczy, będę cię bronić od bezbożnika i winowajcy śmierci swej żony!... — i zalała ręce tak mocno, że aż palce ze stawów wychodziły i, zalewając się łzami, dodała:

— Płacz ty po mnie! Ja już dosyć w życiu przecierpiałam: nie chcę opłakiwać ciebie!

Zofii zakręciło się w głowie, pociemniało w oczach.

— A więc czegoż chcecie ode mnie? — powiedziała załosnie. — Czemuż wam mogę ulżyć ciężaru troski, czem osłodzić życie?!

— Zostań żoną Adama Grodzkiego, dotrzymaj danego mu słowa! — wymówiła pani B., korzystając ze sprzyjającego usposobienia Zofii. — Przez zabezpieczenie swojej, pewnej, spokojnej za nim przyszłości, ubezpieczysz nasze życie!...

Zofia, jak wśród lodowców, kostniała pod słowami matki, ale na ostatnią rzucaną jej apostrofę „przedłużysz nam życie” — odetchnęła gwałtownie.

Majestatycznie a wyniosłe stanęła przed matką.

— A więc dobrze!... Niechże się stanie czego pragniesz, a co ma wam przedłużyć życie! — wymówiła bezdźwięcznym martwym, jakby z próżni wychodzącym, głosem.

— Dwa warunki wszakże stawiam i nie cofnę ich już za nic w świecie: ślub mój odbędzie się w Warszawie, i do ostatniej jego chwili pana Adama Grodzkiego, na oczy widzieć nie chcę! Wszystkiemu innemu się poddam. A teraz proszę was — dodając z nakazującym ruchem ręki — oszczędzajcie mnie, nie utrudzajcie mnie pieczęcią, zostawcie samej sobie.

— Marmurowo zimna! — mówiły ciotki, niepojmując, że był to marmur, w którego głębiach ognie płonęły.

— Jak żelazo twarda — dodawali inni. A biedna Zofia, nie przecząc niczemu, za niczem nie głosząc, niczego już nie pragnąc, chodziła mil-

cząca, jak kir żalobny poważna, i wyczekiwała rychło na nią zawołając:

— Już dziś masz się przybrać godowo — nałożyć strój oblubienicy!

I jak w bajce: nadszedł dzień; słońce było już wysoko, a matka stanęła nad córką, pocałunkiem zbudziła ją ze snu i rzekła: „Wstawaj, śpioszko — dziś twoja uroczystość weselna!”

A śpioszka oblubienica, na batystach spoczywająca, miała minę tak zmęczoną, głowę tak zbolała, jakby noc całą na twardych kamieniach przespiała.

Siedzi teraz przed biurkiem i po raz ostatni rozpatruje się w pamiątkach drogiej przeszłości, które sama skazała na zatracenie. Czyta i odczytuje drobne pisma Stefana, a każdy wyraz, jak ogień, pali jej serce. Drży gorączkowo, a płomienne plamy występują na twarz jej bladą. Kartkę po kartce odkłada, każdy kawałek papieru ogląda starannie. Do nieskończoności tak byłaby się zagłębiała w te kreski malujące myśli i duszę Stefana, gdyby za drzwiami nie zawołała na nią. Z ruchem rozpaczy opuściła ręce na kolana, zwróciła głowę i odpowiedziała przytłumionym głosem:

— Cierpliwości, zaraz wam służę.

Podniosła się, chwyciła portret Stefana, a cisnąc go do ust gorących, szeptała: Na wieki!... na wieki!...

Długą chwilę pochłaniała te oczy, patrzące na nią z kartki w rękę trzymanej, i, jakby ją słuchał, przemówiła głosem wewnętrznego bólu:

— Daruj mi, Stefanie, przebac moim rodzicom!... Nie mogłam siłą brutalną odeprzeć tych dwojga, którzy od niemowlęctwa otaczali mnie tkliwą dobrocią i w przywiązaniu zbytecznym, błędzili, bo nie umieli ocenić ciebie. Na wolę ich godzę się, pójdę za nimi! — ręką rzuciła w stronę dalszych pokoi, — ale przy tobie zostanę duszą i myślą!

Zgarnęła wszystkie papiery w róg sukni i na dopalające się główne w kominku rzuciła.

Blada, bez tchu w piersiach, z dreszczem wstrząsającym, śledziła płomienie, które pochłaniały drogie jej sercu przedmioty, a gdy już ostatni widzialny ślad ich zniknął, gdy zamieniały się już w czarne powiewne płatki, osunęła się na kolana...

— Najcięższe, najboleśniejsze zadanie spełnione, już mnie chyba po raz drugi nic tak ciężkiego nie spotka! Nie daj Boże! bo nie znajdę w sobie dość mocy.

Chwiała się na nogach, usta jej kurczowo drgały; stała jeszcze na środku pokoju, gdy weszła pani B.

— Dziecko moje drogie! — zawołała od proga — ty się nie ubierasz jeszcze?!...

Zofia utkwiała oczy smutne w matkę ożywioną nadmiernym ruchem, a gorzki uśmiech przemknął po jej ustach.

— Będę na czas!... tobie pilno, matko, do tego co już się cofnąć nie da! — ale widząc, że zraniła matkę, dodała łagodnie:

— Ja wiem, że ty dla mnie złego pragnąć nie możesz. Chcesz mnie tylko stanowczo rozdzielić ze Stefanem! Ale, matko, czy ty masz prawo zwałać taki ciężar na barki pana Adama, zaślepionego we mnie? Kojarzysz związek, który, wątpię, czy będzie spełnieniem życzeń waszych, bo ja złemu nie będę winną!

— Nie ty, alem ja winna — zawołała pani B. z uniesieniem — że tamtego człowieka, niebacznie wprowadziłam w dom mój!

— O, nie! — przerwała Zofia z gryzącą ironią. — Byłaś dobrze przezorną matką, powierzając chorego syna światłej nauce i niestrudzonemu staraniom doktora Horwarta; umiałaś ratować jedno dziecko chore fizycznie, ale teraz własnym czynem swoim zabijasz na duchu drugie!...

Z piersi matki wydostał się okrzyk bólu.

— Niewdzięczne dziecko!... — jęknęła.

Czoło Zofii oblało się zimnym potem; cofnęła się, mierzając matkę ostrym wzrokiem.

— Matko!... — zawoła drżącą wargą.

Ale wyraz wymówiony przez nią głośno, dobitnie, wniknął w jej własną duszę, taką wzniosłą powagą, że stłumił powstałą w niej burzę uczuć osobistych. Łagodny wyraz rozlał się na ślicznej bladej twarzy, i jak cicha, ale chora dziewczyna, wyciągnęła ręce do tej miłości ufnej i pewnej, która nawet z pobudek fizjologicznych istnieć powinna w piersiach rodzicielki. I matka skłaniając się ku niej córkę przycisnęła mocno do swej piersi; usta ich złączył długi, przeciągły pocałunek.

— Nie rańmy się już wzajemnie! — powiedziała Zofia słabym głosem — może ja z czasem pojmę i ocenę należycie waszą troskliwość!...

Dziś... pod wpływem innych pragnień jeszcze ona niezrozumiałą jest dla mnie.

Chcąc do ostatka wygładzić z pamięci matki całą ostrość prowadzonej dyskusji, dodała z wdzierczym uśmiechem chylącej się już niemocy:

— Póki niema jeszcze nikogo z obcych, obejrzę owe skarby z kwiatów przysłane mi przez pana Adama, bo później zbraknie mi czasu; ubierać się muszę, a powinien być ładny, by twoje serce radowało się z dumy macierzyńskiej.

Objęła matkę słabym ramieniem, pociągając ją za sobą. We drzwiach spotkały pana B. z poważnym i spokojnym wyrazem twarzy, rozjaśnionej widokiem córki idącej ku niemu.

— Od kiedy-to taką wprowadzono modę że ojciec sam zgłasza się do córki po odbiór powinszowania?

Powiedział to tak miękko a serdecznie, że Zofia, zamiast ucałować rękę, jak obyczaj każę, przytuliła się do niego.

— Wynagrodzić mi to powinnaś — mówił wesoło, i pogłaskał ją po głowie — obdarzając mnie na rok przyszły wnukiem na wiązanie!... Ale cóż to? gdy się o wnuka upomniał, panna tak rozkosznie zwiła na moim ramieniu, jakby się już czuła w objęciach pana Adama!... — i podtrzymując ramieniem ojcowiskiem, spojrział jej w oczy badawczo.

Spoważniał, rozrzewnienie odbiło się na pogodnej przed chwilą twarzy, ścisnął dłonie jej w swoich rękach i zwrócił się do żony, wskazując Zofią:

— Nim zaczniesz się ubierać, daj jej kieliszek wina; to ją wzmocni; jest tak blada, że przestraszy wszystkich w salonie.

— Panno Franciszko! — zawołał donośnie. Weszła niemłoda panna, przyrodnia siostra pani B., bawiąca od lat kilku w ich domu.

— Weź pani Zosię i nie odstępuj jej, proszę, — a zwracając się zaś do Zofii:

— A ty, moje dziecko, wróć do swojego pokoju. Drażni cię, widzę, każda rzecz, a potrzebujesz siły dla przebycia dnia dzisiejszego; lepiej się pomódl, a jeżeli możesz, to i popłacz trochę. — Pocałował ją w czoło i wyszedł.

Za drzwiami otarł łzę zawisłą na powiece i głosem smutnym powiedział do idącej za nim żony:

— Anno! mnie żal tej biedaczki. Trzydzieści sześć lat nie sprzeciwiałem ci się w niczem; pierwszy raz nieufnie na twoją energią spoglądam i pragnę zaopponować.

— Extaza, mój drogi! Kocham ją nie mniej od ciebie, pragnę widzieć jej los raz już ustalony. Adam kocha ją nadewszystko; zresztą już go przygotowałam na różne wstępne z jej strony kaprysy... jego zaś usposobienie łagodne i czas, sprowadzą korzystną zmianę; a gdy zostanie matką, droga jej życia zupełnie się wyrówna.

— Tak, gdy zostanie matką — powtórzył pan B., głucho — ale nim to nastąpi?... Ona ma naturę moją: spokojną, ale stałą, a głęboko czującą...

— Ale, patrz, otóż i Adam.

Po salonie chodził wolnym krokiem, godowo przybrany, z rękami w tył założonemi, narzeczony Zofii, Adam Grodzki. Na jego twarzy rozumnej, był wyraz godności, a w całej postaci chłodna, ale umiarkowana powaga. Od czasu do czasu spoglądał na zegarek.

Kilka już karet stało przed domem, rodzina i bliżsi znajomi zaczęli się zbierać. Pan Adam w zastępstwie nieobecnych jeszcze rodziców, witał wszystkich z wytworną grzecznością, ale milcząc i zimno. Nastrój w salonie był wogóle nie wesoły; jakaś w nim duszna panowała atmosfera, a rozmowa bez współdziałania pana młodego, zrywała się; gdy w tem w podskokach wbiegł uśmiechnięty i rozpromieniony brat Zofii, Bolesław B. Objął w pół pana Adama i poszeptał mu do ucha, ale tak, że każdy słyszał:

— Zosia natychmiast z rodzicami przychodzi! A jaka ładna! — dodał głośno i wybiegł.

Pan Adam, na którym przed chwilą niewiada było żywszego zajęcia się, teraz nie liczył już spokojnie minut na zegarku, lecz przeobraził się do niepoznania. Oczy zapłonęły mu blaskiem, żyły uwydatniły się na skroniach, usta lekko drżały, a w całej twarzy tyle było ciekawości, niepokoju i radości, że mimowoli całe grono weselne poruszyło się swobodnie.

W powłóczystej atlasowej sukni, z białym wieniecem na złoto-blond włosach, splecionych w dwa warkocze, luźno puszczone, w osłonie z białych koronek, nie różniąc się twarzą bladą od atlasu, weszła Zofia wsparta na rękę ojca.

Pan Adam płomiennym wzrokiem objął te swoje od stóp do głowy śnieżno-białą przyszlą, niewidzialną dla niego przeszło od roku.

Podala narzeczonemu swoją małą rączkę, obciążoną białą rękawiczką; spojrziała mu prosto w oczy, takim czystym, jak lazur wzrokiem, ale rzewnym i tęsknym a tak głęboko wymownym, że Adam cały ścierpnął.

— Zofio moja! — szepnął cicho z uczuciem.

Odpowiadając lekkim uściśnieniem ręki, uśmiechnęła mu się łagodnie i przeszła z wolna dalej z każdym z osobna witając się kolejno.

Była idealnie piękną, pomimo bladoci pokrywającej oblicze. Przesuwała się cicho, majestatycznie, a cała postać tchnęła takim uroczystym spokojem, że wszystkie serca były przyspieszonym tętnem wzruszenia.

Adam nie spuszczał z niej oczu. Czuł więcej, niż kiedykolwiek, że za żadne skarby świata nie oddałby jej już nikomu!... że ta, raz pierwszy tak w biel przybrana, jest najwyższym dlań darem, najbogatszym skarbem, jego jedynym w życiu uczuciem!... Nie oddałby jej nawet własnym jej rodzicom. Nie czekałby aż od ołtarza odejdzie, ale teraz już w tej chwili nie pozwoliłby jej sobie wyrwać chyba z własnym życiem... Serce biło mu nieograniczonym szczęściem; trzeźwy zawsze, zawsze pan swoich myśli i woli, stał się w tej chwili niepewnym, chwiejnym: miłość go odurzala.

Zofia, mając umysł subtelny, naturę uczuciową, głęboko rozumiała myśli jego. Litowała się nad nim, jak zwykła się litować dobroć nad nieopatrzoną rozrzutnością, trwoniącą drogocenne skarby duszy. Przez wrodzoną szlachetność, nie-egoistycznych, podnioslejszych natur, uśmiechała mu się życzliwie i z takim współczuciem ciemnych źrenic, że Adam, pociągnięty i rozmarzony, przykląkł i ucałował biały atlas jej sukni.

Zofia starała się powstrzymać jego uniesienie ruchem ręki; ale on, nie podnosząc się z klęczek i pochylając głowę przed panią swojego serca, złożył ozdobną konchę na nieopiętej jeszcze dłoni.

Oczy Zofii przysłoniły się długą rzęsą, w sercu odezwał się ból ostry, przeszywający. Nie była przygotowaną na taki wylew uczuć Adama, zawsze umiarkowanego; i niebogą niewypowiedziany lęk ogarnął.

W głowie jej wirowało, czuła ciśnienie w pierśsiach, jakby w braku powietrza.

Uniosła ciężkie powieki; spojrziała na ojca z głęboką na czole troską stojącego, na matkę wylewającą łzy rozczulenia, i bez namysłu, ale tylko drżącą ręką, nacisnęła sprężynkę ozdobnego cacka.

Upominek pana młodego był kosztowny; piękne szmaragdy w misterną koronkę złotą oprawne, zwróciły ogólną uwagę. Te zielone kamienie, w chwilach swobody jej serca głośno chwalone spośród innych wyróżniane i najwyżej zawsze

przez nią cenione, w tej chwili przygniotły ją ciężarem jeszcze bolesniejszym. Myśl, że tego człowieka nie kocha wpędziła jej krew do głowy, i czoło, szyję — twarz całą oblał silny rumieniec.

W gardle ją dławilo; czuła, że dzieje się w niej coś niezwykłego. Podniosła się z miękkiego siedzenia, złożyła ostrożnie dary otrzymane na stoliku. Zwróciła się do Adama, ściskając jego rękę i utkwiała w nim wzrok, dziwnie przejmujący.

— Adamie! — powiedziała z mocą, po raz pierwszy nazywając go po imieniu. — Nie podziękowałam ci za kwiaty, za nic zgoła, com od ciebie otrzymała!... Czemże to jest? — wskazała na kosztowności złożone na stole — wobec ciebie samego!... A jednak...

Zamilkła, wodząc dokoła jakimś mętym szklanym wzrokiem.

— Dziękuję ci!... — zakończyła cicho i szybko jak myśl dotknęła ustami ręki.

Chwiejnym krokiem podeszła do ulubionych swoich — i Stefana — konwalii, uśmiechając się im niebiańsko.

Adam, jak cień, posunął się za nią.

Nachylając się nad doniczkami, dotknęła zbladłymi ustami białego kwiecica, wciągając w siebie ich zapach całą pierśią.

— Jedyna moja! — szepnął, pochylony z nią razem Adam — moja już teraz, moja nazawsze!...

Ona bladła przerażająco, a jego coraz większy szal ogarniał. Zachwiała się; ujął ją silnie w pół szeptem „moja”... a ona bez żadnego już oporu, podając się, chyliła w jego stronę i nagle, całym ciężarem sztywnej już postaci, padła w jego ramiona.

— Doktora!... — krzyknął Adam, zmienionym, rozpaczym pełnym głosem. — Wody!... zemdlła!... rozbiegło się po wszystkich pokojach; zamęt powstał w całym mieszkaniu.

— Zofio! — mówił Adam, tracąc siły i rozum — wywalczyłem ciebie duszą moją, nie wiesz czem dla mnie jesteś!... moja najdroższa, zbudź się!... O! ty nie masz serca! — wołał z namiętną rozpaczą, ostrożnie składając biały ciężar na kanapę.

— Nie masz serca!... — powtarzał z jękiem, podsuwając poduszkę pod jej głowę, do otrzymania błogosławieństwa rodziców naszykowaną.

— Zofio! — łkała matka, trąc jej skronie — nie zabijaj mnie!...

Zofia na te skargi leżała nieporuszenie biała i niema. Sprowadzony lekarz, skłoniwszy się w przejściu zebranych, długo się przyglądał leżącej.

Podjął spuszczoną rękę Zofii — szukał tętna życia.

Cisza była tak uroczystą, że słyszałeś uderzenia serc obecnych.

Lekarz przyłożył ucho do ust... do piersi... do serca!... Sekundy wydawały się godzinami dla oczekujących.

Nakoniec minister zdrowia wyprostował się powiódł spokojnym wzrokiem po zebranych, a stojących w głuchym milczeniu i głosem pewnym orzekł:

— Skończone, aneuryzm serca.

Następnego dnia, w tymczasowym salonie, na bogato przybranym katafalku, w białej, wysoko umieszczonej trumnie, z przymkniętymi powiekami, z uśmiechem nie-ziemskim, tymsamym który poprzedniego dnia zdołał jej twarz jeszcze żywą i w tym samym ślubnym stroju, — spoczywała kochana i idealnie piękna Zofia B.

Dwa cyprysy, przy uroczystości weselnej wniesione do sieni, skończyły straż swoją u drzwi; teraz najpierwsze zajęły miejsce u wezłowania zmarłej, nie tracąc nic ze swej posępnej barwy od jarzącego światła. Tylko ulubione konwalie, mieniąc się razem z panią, przybrały kolor uryańskich pereł.

M. Rossa.

ODCZYTY

NA OSADY ROLNE.

I.

Dnia 10 Listopada pani Walerya Marrené: *Kobieta w powieści polskiej*; d. 13 t. m. p. Stanisław Beźła: *W obronie uciśnionych*; d. 16 t. m. p. Jan Maurycy Kamiński: *Niewinni*.

„Wyscie dotąd były jak lilie boże, co rosną, nie wiedząc o własnych barwach i woniach” — przemawia do kobiet p. Marrené, słowami Krasińskiego — „Oto idzie dzień, w którym się każda z was w myślącą różę przemieni”. Dewiza bardzo piękna, tylko szkoda, że inaczej pojmuje ową „różę myślącą” poeta, a inaczej pani Marrené. Ta botanika poetycka autora *Niedokończonego poematu* była czysto subiektywną: zamknęła w sobie tęsknotę tragiczną jego życia, a jako prawda i zasada dla innych wyraziła jedynie potrzebę wyzwolenia kobiety zpod małżeńskiego jarzma męczyzny niedorastającego jej duchem. Pani Marrené chce wyzwolić kobietę w ogóle z niewoli świata, zostającego pod rządami mężczyzn. Kobieta była dotąd istotą skępowaną w ruchach społecznych, w pracy i w miłości, w myślach i w dążeniach: ma być odtąd w tem wszystkim wolną, jak wolnym jest ten, który od wieków prawa jej lekceważył a rozwój tamował. Wszystko lepiej pójdzie na świecie, gdy się to wyzwolenie spełni. Kobieta przestanie być mimożą, do żadnej pracy niezdolną, sentymentalnie wznoszącą wzrok ku niebu banalnych ideałów; nabierze rozsądku i siły, uzdolni się do życia, stanie bezpośrednio oko w oko ze społeczeństwem: zacznie patrzeć i myśleć krytycznie, tak krytycznie, iż odtąd nawet miłość jej krytyczną będzie. Nam zdaje się, że p. Marrené trochę zawiele od przyszłości wymaga; potomność, jeśli tylko do niej dojdą poglądy emancypacyjne prelegentki, będzie mogła już niezawodnie ocenić wartość postawionej wroźby.

Jakie życie w społeczeństwie — takie ideały w powieściach. Epoka sentymentalizmu wydawała Julie i Malwinę; rozbudzająca się energia wydaje typy energiczne. Szereg ich rozpoczyna Krystyna Hoffmanowej, scharakteryzowana dobrze w odczycie. Odznacza się ona rzadkim rozsądkiem, przy którym umie kochać, i choć nie zdoła opanować porywu serca, panuje potem, jak królowa, nad bólem swoim serdecznym. Ostatecznie poddaje się przeznaczeniu i chętnie przekłada staropanieństwo, zacne, pełne godności i pożytecznego dla innych trudu, nad małżeństwo, któreby los jej zespoliło z człowiekiem lekkim, niezastugującym nawet na jej szacunek. Hoffmanowej przyswiewał cel pedagogiczny: *Krystyna* miała być takąsamą pamiętką po dobrej matce dla panien, jaką była *Karolina* dla młodych mężatek.

Szyrmerowska *kobieta oryginalnie wychowana* nie należy do rzędu ideałów kobiecych naszego powieściopisarstwa: dlatego za niewłaściwe uważamy powołanie jej do wspólnego z innymi szeregu. Pisemko Szyrmera jest rozmyślaniami czy fantazyowaniem nad kobietą. Wypowiadane przekazywania mają tam na sobie lekki, ale dla uprzedzonego oka widoczny odcień ironii. Prelegentkę do niewłaściwej klasyfikacji — skusiły zapewne emancypacyjne rysy *Pamiętników*!

Ze Żmichowską obeszła się pani Marrené nadzwyczaj surowo, a surowości tej doznała na sobie i sama powieść, jako rodzaj literatury twórczej. Ujrzelismy tedy rów głęboki wykopany pomiędzy powieścią a poezją. Żmichowska poetyzowała, i to jeszcze w stylu jaknajgorszym, bo w romantycznym; jej *Foganka* np. nie jest wcale powieścią, a w innych jej typach nie dostrzegła pani Marrené nic takiego coby jej pozwoliło stwierdzić fakt metamorfozy lilii bezwiednej na myślącą różę. Kto czytał Żmichowską, ten wie, jak dalece sąd taki jest błędny; p. Marrené niezawodnie ją też czytała, ale jej wzrok przyćmiło mętne doktrynerstwo dzisiejszej emancypacji: właśnie emancypacja duchowa kobiety — jak krew krąży po

wszystkich utworach Gabryeli. Za herezyą, jakiej się dopuściła p. Marrené, odsądzając powieściopisarstwo od poetyczności, za niemilosierne oderwanie powieści od macierzyńskiego łona poezji, nie myślmy jej palić na stosie. Każdy mierzy świat sobą; w powieściach samej p. Marrené jest tak mało poezji, a tak dużo emancypacji (*January*), że umiemy sobie doskonale wytłómaczyć ten surowy sąd o autorce *Poganki* i *Białej róży*. Znajdujemy się tu w obec umysłowego daltonizmu: bierze się jedne kolory za drugie; innym zaleca się miłość krytyczną, ale samemu nie jest się zdolnym nawet do krytycznych poglądów.

Dla Kraszewskiego również znalazła pani Marrené procedurę summaryczną a niesprawiedliwą. W wieku rdzenną twórczości i siły wyprowadził pisarz ten na jaw wiele bardzo zajmujących typów kobiecych, a wśród nich znajdują się takie, które do tezy emancypacji przynoszą treść psychologicznie prawdziwą a bogatą. Pani Marrené tymczasem poprzestała na *Latarni Czarnokształkiej* i *Szalonej*, a przy tej ostatniej jeszcze nie wyrozumiała należyte dążności autora, ani prawdopodobnej genezy utworu, oskarżając Kraszewskiego o chęć rozmyślnego skarykaturowania tej nieszczęsnej emancypacji, niemilosiernie odmieniając przez wszystkie postacie, liczby i przpadki.

Otarłszy się o Jeżę—pani Marrené stanęła wreszcie przed Orzeszkową, przed największym dziś niezaprzeczeniem talentem w powieściopisarstwie społecznym dążnościowym. Inna tu już kraina, inne powietrze. Przechuczały burze, przewiały wichry, słońce wychyliło się zza chmur, ale już przygasał jakieś, wyblakłe. Otworzyły się rany i zaczęły się same skarżyć... Orzeszkowa podслуchała te skargi. W naszych czasach żaden inny umysł nie ukochał tak silnie, tak szczerze, typu kobiety nieszczęśliwej, walczącej z losem, i miażdżonej przez los; nikt w formach codziennego powszedniego życia nie umiał tak dobrze odtworzyć powagi i grozy tragicznej upadających dusz niewieścich. Pani Marrené znalazła się na wdzięcznym dla poszukiwań swoich polu, i żałować wypada, że od razu od *Krystyny* nie przerzuciła się do *Marty* lub *Brochwiczów*. Odczyt byłby przyniósł mniej bałamutnych poglądów, a więcej prawdziwych obrazów naszego powieściopisarstwa. Wogóle, zamykając oczy na doktrynę p. Marrené, która sama jej dobrze nie rozumie, poczytujemy prelegentce za zasługę przypomnienie dzisiejszej publiczności tak znakomitego utworu, jak *Krystyna*, a zachęcenie jej do poznawania Orzeszkowej, która rozwlekłość swoją okupuje głębokim odczuciem i rozumnym rozwojem charakterów i przygód powieściowych.

Są tak szczęśliwe istoty na świecie, że nie potrzebują sobie dopiero zdobywać emancypacji, ale ją gotową już do usług swoich znajdują. O tych szczęśliwych mówił p. Stanisław Bełza, adwokat tutejszy. Emancypacja kobiety w pewnych warstwach społecznych zachodzi tak daleko, że mąż zostaje w domu przy kołysce dziecka, a żona idzie do jakiejś przedziałni, polerowni, nawet podziemia kopalnego, i pracuje na siebie, na dzieci i na męża. Jest to już kwiat emancypacji! Straszliwe te stosunki krystalizują się już w obyczaj, zatrzymując moralność, rozrywając rodzinę, gwałcąc poczucie człowieczeństwa. Tak się dzieje i długo jeszcze dzieć się będzie w okręgach przemysłowych Europy. Kobieta i dzieci cierpią tam prawdziwy ucisk, na który składa się głód jednej, chciwość drugiej strony. Od pewnego czasu trochę się ten stan poprawia, dzięki prawodawstwu, które przy zupełnym zaniedbaniu zbiorowego życia moralnego, w braku odpowiednich instytucji społecznych, nawet w Anglii—musiało narzucić przemocą to, czego w sercach ludzkich, w uczuciu człowieka dla człowieka, nie znalazło. Najwyższe złe jest tam, gdzie zaraza wielkiego przemysłu najsilniej grasuje: w Anglii. Wdanie się państw przyniosło tylko powierzchowną ulgę, zaprowadziło dogodniejsze dla pracy kobiecej i dzieci warunki, ale nie wytepiło złego, którym jest demoralizacja, złączona z pijaństwem, zaniedbanie rodziny, puszczenie dzieci samopas na cztery wiatry, wstrzymywanie ich fizycznego i umysłowego

rozwoju—i ostatecznie nędza. Złe ustąpić może dopiero wtedy, kiedy się serca ludzkie koryć zaczną przed majestatem wspólnego wszystkim, równającego wszystkich człowieczeństwa. Nie będzie to już działanie mechaniczne państwa, ale organiczna funkcja samego społeczeństwa—i będzie też funkcja niezawodna. Uczucie jednostek wyda z siebie wstyd społeczny, wstyd stanie się ojcem obyczaju, a co w obyczaj przejdzie, to już będzie niewzruszonym. Niechże kto dzisiaj, we 23 lata od edyktu Lincolna, poważy się przywrócić niewolę Murzynów w Stanach Zjednoczonych? Dalekie, bezwzględne, są jeszcze czasy ustalenia się tego nowego obyczaju ale; przyjaciel Ludzkości nie powinien wątpić, że kiedyś, gdy z jego trosk dzisiejszych nawet ślad najdrobniejszy nie zostanie—będzie na świecie lepiej Cywilizacja góry już dziś przynosi, ale dotychczas prawdziwie nie zajęła się jeszcze człowiekiem. Udoskonalanie maszyn, wynajdywanie kartaczownic nie będzie wiekistym celem Ludzkości.

Z bogatej literatury Zachodu nie trudno było p. Bełzie wybrać dane do zamierzonego aktu oskarżenia. Uczynił to ze szczerem przejęciem się, z zamiłowaniem przedmiotu wychodzącym wprost z serca; szkoda tylko, że chcąc nas po smutnej krainie ucisku kobiet i dzieci oprowadzić, wsiadł na olbrzymiego, jakby trzypiętrowego, rumaka. Styl przesadny, napuszony i wysłowienie prawdziwie kaznodziejskie, przypominające mowy pogrzebowe na cmentarzach ewangelickich, psuły dodatnie wrażenie odczytu. Mógł nas również prelegent uwolnić od zachwytów nad wielką opatrnością państwową *in duodecimo*. Trochę zimnej wody nie zaszkodziłoby; znaleźć ją można u Spencera, w studyach, skoro już bez aktorytetów ani rusz. Faktów też z dziedziny prawodawstwa opiekuńczego było zamało a przedstawienie ich zbyt pobieżne. Na przyszłość należałoby unikać takich obrazów myślowych, jak „podcięcie konarów.”

Mnóstwo jest dzisiaj niewinnych. Zaludnia nimi świat pojęć filozofia, pieści się nimi sztuka, zaczyna w nich nawet mieć benjaminków swoich teoria prawa. Nieodpowiedzialność człowieka za czyny stała się dziś dogmatem wielu umysłów nawet poważnych: niesie ją w sobie naturalistyczność całej dzisiejszej naszej wiedzy. Na konikach determinizmu harują nawet drobne pacholki filozofii i całe to mirmidoństwo, w którym każdy, wstąpiwszy za ledwie do uniwersytetu, więcej hołduje dumie niż prawdzie, a godność swoją umysłową na tem głównie zasadza, aby nie być jak „starzy”—zacofanem. Społeczność ludzka nie miała nigdy większego wroga nad determinizm; jest to rak, który najsilniejszego nawet stoczył musi. Bez woli jesteś zwierzęciem lub kamieniem. potrzebujesz ciągle bicia, któryby cię poganiał i ze szkody wypędzał, potrzebujesz procy, którąby cię wyrzucała tam, gdziebyś najmniej złego zrobił. Niknie wtedy granica pomiędzy osobistościami ludzkimi, nikną i same osobistości—świat staje się wielkiem pobożowiskiem duchów, po którym wędrują się szakale. Niema wtedy różnicy pomiędzy uczciwym i łotrem, pomiędzy uczciwością a nieuczciwością. Gaśnie już idea, jako gwiazda stale przyświecająca, —tleją tylko pożary własnych namiętności. Zamiast ideałów, egoizm zapala sobie drobne świeczki interesów... Umysł mój nie jest już moim, serce nie do mnie należy. Myśli moje, uczucia i postanowienia są tylko wypadkowami jakiejś piekielnej mechaniki, w której ścierają się moce i siły—nie moje bo ja nic w sobie swojego nie mam. Jestem tylko pudłem mówiącym, patrzącym, mającym kształt i układ człowieczy: przestałem już być treścią człowieka. Tak jest: bez woli musi być istota ludzka studnią dla wszystkich i dla wszystkiego otwartą—a dobrze jeszcze jeśli nie będzie rynsztokiem. Takimi ubezpieczeniami grozi społeczności europejskiej doktryna determinizmu. Przeciwno niej—to godzi się wznowić hasło wolterowskie w walce z nietolerancją, religijnej wydane: *Ecrasez l'infame*. Temat niewinnych, to temat śmierci—zwłaszcza dla tych społeczeństw, dla których szanse są tylko we własnym ich duchu.

Myśleliśmy, idąc na odczyt p. Kamińskiego, że choć filozofem nie jest, to właśnie dlatego, że jest prawnikiem, mówić będzie o niewinnych wyżej określonej kategorii, oile ci w sferę prawa wkraczają. Tymczasem przedmiotem wykładu była inna jeszcze kategoria niewinnych: tak zwani w prawie „niepoczytalni”. P. Kamiński treściwie wyłożył naukę o niepoczytalności i niepoczytaniu—rzecz przez się dość suchą dla przeciętnego słuchacza i słuchaczki, a na wykładzie nie ożywioną należyte sposobem przedstawienia. Zdaje nam się, że zamiast zapełniania całego schematu myślowego, jaki tu podaje teoria prawa, lepiej było dać ogólne wyobrażenie o poczytalności i niepoczytaniu, a potem barwnie przedstawić szereg najciekawszych wypadków z praktyki kryminalnej. Prelegent nie wdawał się w rozstrzygnięcie sporu pomiędzy deterministami a stronnikami własnowolności: czyn musiał mieć zawsze jakies pobudki; te zaś, nie wystarczają może do odpowiedzialności filozoficznej, ale uzasadniają najzupełniej odpowiedzialność karną.

S. K.

NOWINY PARYZKIE.

Paryż, d. 3 Listopada 1885 r.

Wybory we Francji. — Powodzenie Zachowawców. — Niepodziękowanie i niepewność. — Nowe kawiarnie i restauracje. — Dziwaczne reklamy. — Opactwo Thélème i kotlety z rusztu. — Kraszewski i uwolnienie z więzienia za kaucją. — Zamach przeciw p. Freycinetowi, ministrowi spraw zagranicznych. — Tajemniczy powód tego zamachu. — Kwestya kobiet lekarek, w teatrze i w rzeczywistości. — Śmierć znakomitej artystki-malarki, pani O'Connel.

(Dokończenie).

Wicie już, że w ostatnich czasach zmarł w New-Yorku tamtejszy arcybiskup, Mac-Closkey. Sędziwy pasterz dożył lat późnych i spoczął w grobie, otoczony szacunkiem powszechnym wszystkich, bez wyjątku wyznania. Amerykanie znajdujący się w tej chwili w Paryżu postanowili uczcić pamięć swego arcy-pasterza, sprawiając mu solenne exekwie w kościele Ś. Magdaleny. Wykonali to z tą lojnością, jaka zwykle towarzyszy publicznym manifestacyom Amerykanów. Olbrzymi kościół Ś. Magdaleny gorzał od światła i blasku ornamentacji; obicia bogate i kwiaty zapełniały świątynię; najwięksi śpiewacy, wspaniałe organy, tłum wybranych i zaproszonych gości,—nadawali temu obrzędowi, prawdziwy blask królewski. Jam nigdy Magdaleny nie widział w tak świetnym, tak wspaniałym blasku.

Co za nauka, co za przykład — gdyby umiano zrozumieć, skorzystać! Ale gdzież tam! Tutejszym radykałom zdaje się, że ten dopiero jest wielki człowiek, kto wielkie jakie bluźnierstwo wypłuje... Tu ci cudzoziemcy, ci przybyłcy z zamorza, ci prawdziwi republikanie, nie zaniechali ani jednej, choćby najmniejszej, sposobności do złożenia zasłużonego świadectwa zmarłemu; każda z żałobnych obsłon kościoła unosiła na sobie herb arcy-pasterza, z tą, tak wymownej prostoty, lewizą: „*In spem vitae aeternae*...”

Dziennik amerykański *New York Herald*, dając zyciorys zmarłego arcy-pasterza, przytoczył niektóre ciekawe szczegóły co do liczby katolików, i urzędzenia Kościoła w Stanach Zjednoczonych. Na 50,000,000 mieszk. liczą tam 6,000,000 katolików. Kościół jest wolny w wolnym narodziu. Jest wogóle 7 arcybiskupich i 17 biskupich diecezji. Funduszu na utrzymanie księży i kościołów dostarczają składki dobrowolne parafian i wogóle wiernych. Stan duchowieństwa i kościołów jest wogóle pomyślny, a nawet w wielu diecezjach kwitnący — pod moralnym nawet względem. Istnieje to owocem samodzielności i swobody niczem niekępowanej, którą konstytucya w swoim artykule dodatkowym z r. 1791 uświęca.

Ponieważ literatura i teatr nie mają nic w tej chwili, coby zasługiwało na szczególną uwagę i mogło zająć prawdziwie moich czytelników, muszę więc wrócić do kobiet. U nich-to zawsze, jak

w pełnej i dobrze zaopatrzonej kassie, znajdzie się łatwo gotówka, którą się można podzielić, nawet z tymi, u których wymagane jest druga natura.

W tej chwili na polu naukowem, na polu medycyny praktycznej, toczy się ważna bardzo sprawa. Chodzi o to, czy uczące się medycyny kobiety powinny się ubiegać o miejsca internów w szpitalach na równi z mężczyznami? W tej sprawie, stanęły naprzeciw siebie dwa różne obozy: jedni, którzy są *za*, a drudzy, którzy są *przeciw* takiej opinii. Nie zapomnijmy dodać, że dyskusja toczy się pod przewodnictwem już patentowanych i wziętych doktorek.

W urzędowym kalendarzyku znajdujemy wskazówkę, że według starszeństwa daty wydanego dyplomu, doktorki praktykujące w Paryżu, następują po sobie w następującym porządku: Pierwsza pani Magdalena Brès otrzymała dyplom doktora medycyny w r. 1875; panna Klaryssa Danel dyplom lekarza (*officier de santé*) w r. 1876; dyplom doktora medycyny: pani Bouchier w roku 1878; panna Verneuil w r. 1879; pani Róża Perrée i pani Guénot w r. 1881; panna Benoit w r. 1883. Dwie z nich, pani Perrée i panna Verneuil posiadają własne swoje zakłady kliniczne.

Jak powiedziałem, idzie o to: czy kobiety doktorki powinny się poświęcić wyłącznie leczeniu kobiet i dzieci tylko, czy też mają leczyć bez różnicy mężczyznu i kobiety? Na czele tych wojujących stronniectw spokojnie i poważnie stoją dwie biegłe i bardzo tu wzięte już doktorki: panie Brès i Perrée. Pierwsza, jak sama daje przykład, leczy jedynie kobiety i dzieci; druga nie robi żadnej różnicy co do płci i rodzaju.

Zdanie najpoważniejsze i ogólne, powiedzmy otwarcie, jest po stronie pani Brès'owej: przeszłość lekarek jest widocznie w tym kierunku. Inna jest rzecz pilnować chorych, a inna wcale—leczyć; nie wdając się w wielkie i głębsze wywody—samo to się przez się rozumie. W danej kwestyi zresztą chodzi mniej o te osobistości które już skończyły naukę i zajmują się praktyką, niż o te, które dopiero się uczą wśród niezmiernie przeważającej liczby studentów mężczyzn, a szczególnie o te, które stają do walki o posadę internów...

Wszystko to się uspokoi z czasem; w tej chwili jednak opinia publiczna zajmuje się tu kwestyą nową, a tak ważną, tak silnie obchodzącą, kobiety-lekarki. Teatr i powieści przyswoiły już sobie ten przedmiot. W teatrze widzę tu i unas, przedmiot ten traktowany na wspak—i z punktu, który zniża wartość i doniosłość jego. U nas młody bardzo pisarz wystąpił ze sztuką, której ujemne strony, a nawet wstrętne, zdumiewają. Mówię tu o doktorze *Faustynie* p. Rzewuskiego Stanisława. Tutaj pp. Ferrier i Bologe w komedii pod tytułem: „*Doctoresse*,” zrobili z tego pewien rodzaj bardzo zabawnej przygody małżeńskiej, w której potulny mąż uczonej doktorki, po rozmaitych przejściach, sprowadza ją napowrót na drogę obowiązków małżeńskich, a to za pomocą zazdrości, tej prostej, ale odwiecznej dźwigni serca niewieściego.

Mówiąc o kobietach, niepodobna niepoświęcić tu słów kilku zmarłej w ostatnich czasach kobiecie, która przed kilkunastu laty była jedną z najświetniejszych gwiazd arystokratycznych na horyzoncie paryżkim.

Pani O'Connel, artystka ogromnego talentu była rodem Prusaczką z Potsdamu. Młodo bardzo dostała się do Brukseli, gdzie, zachwycona blaskiem i wdziękami starych mistrzów flamandzkich, oddała się malarstwu, i w krótkim bardzo czasie, dzięki naturalnemu usposobieniu, stała się prawdziwą mistrzynią pendzla. Znakomity jej talent pod względem kolorytu otworzył jej drogę do niesłychanej wziętości i otoczył jej osobistość rozgłosem, który mógł jej zapewnić jedno z pierwszych miejsc wśród malarzy naszej epoki.

Niejaki p. O'Connel, Belgijczyk, pochodzenia irlandzkiego, zachwycony talentem i wdziękami młodej malarki—złożył u nóg artystki szlachecki swój klejnot, wraz z niewielką ale dostateczną fortuną, i pozyskał jej rękę. Działo się to około

roku 1845; pani O'Connel urodzona w r. 1817, czy 1818, miała wówczas lat 27 lub 28 — była w całej sile wieku i malarskiego talentu i nowożeńcy przenieśli się zaraz do Paryża, gdzie, dzięki wielkiemu talentowi żony i zawadyactwu męża, wkrótce bardzo zdobyli sobie to, co się tu zowie *la notoriété publique*. Żona malowała znakomite portrety, mąż wywijał szpadą. Koła artystyczne i literackie poszukiwały znakomitej artystki. Żaden pojedynek głośniejszy nie obył się bez udziału męża. Było to dostatecznym, aby o nich wiedział świat cały.

Do wysokiego talentu malarskiego p. O'Connel łączyła jeszcze niemniej znakomity talent: rytowała *à l'aqua forte*. Rzadki dziś i prawie nie do znalezienia jej sztychy należą do nieocenionych nabytków dla kolekcjonistów.

To powodzenie i ta wziętość trwały aż do r. 1860. P. O'Connel, przy swym wielkim talencie i wielkich zdolnościach, odziedziczyła tę pewną szorstkość i zarozumiałość burzliwą, które się tak często spotykają nad brzegami Sprei—puszczając wodze łatwości wielkiej wysłowienia, nie mitygując zadość zbyt ognistej wyobraźni, zafana w szerpetynce mężowskiej, zawsze napół wyciągniętej z pochwy—narobiła sobie wiele nieprzyjaciół—wśród areopagu akademickiego, co spowodowało, że w r. 1859 kommissya wystawy dorocznej odmówiła, nie bez przyczyny, przyjęcia jej „*Kleopatry*”—powiadam nie bez przyczyny—bo wszystkim, którzy ją oglądali na wystawie specjalnej urządzonej dla niej, pamiętną jest ta straszliwie naga kobieta, w postawie aż do zbytku śmiałej, rzucona wśród najrzadszych, najwspanialszych kwiatów.

Na nieszczeście wszystkie te zapasy gwałtowne, wszystkie te excytacje moralne, wywarły wpływ zgubny na umysł biednej kobiety; zbyt delikatne naczynie, nie mogło wytrzymać potężnego nacisku burzliwej fantazyi. Około r. 1860 zaczęła się p. O'Connel zajmować będącym wówczas w modzie spirytyzmem. Zbierano się u niej często i licznie; te posiedzenia, stały się bardzo głośnie w swym czasie, ale też stały się zgubnymi dla sztuki i dla jej mistrzyni. Odtąd p. O'Connel zaczęła zaniedbywać malarstwa, a wkrótce oddała się całkiem studjowaniu matematyki i nauk ścisłych.

Gwałtowna we wszystkim, później nie znała już żadnej miary w nauce. Z postępem czasu charakter się jej zmienił, coraz stawał się twardszym, burzliwszym, i nastąpił rozbrat małżeński. Wierny zakochany Irlandczyk nie wytrzymał; małżonkowie się rozstali.

Odtąd, aż do wojny r. 1870, artystka znikła z horyzontu i po tak szumnym rozgłosie zupełne milczenie stało się wokoło niej. Dopiero po wojnie jedna z jej dawnych przyjaciółek, odnalazła ją w biednym gdzieś schronieniu—odnalazła, niestety, umysłową ruinę.

Wskutek starań redakcyi *Figara*, gdzie miała wielu dawnych przyjaciół, umieszczona w *Maison de Santé* pod nazwą *Villa Evvard*, po piętnastu latach spokojnego obłąkania—zapomniana przez wszystkich—ale ciągle rozmyślająca o swem dziele *Filozofia ziemi*, zamknęła nakoniec powieki—nie wspomniawszy ani na chwilę o tem, co było niegdyś jej chlubą i co utrzyma jej pamięć trwałszą, o malarstwie...

P. S. Kończąc ten list, dowiaduję się w ostatniej chwili, że człowiek obwiniony o zamach na życie p. Freycineta jest rzeczywiście Korsykańin i nazywa się Pietro Mariotti. ¹⁾ Był on używany do robót przy kanale Panama, gdzie później trzymał rodzaj szynku i kawiarni; młodą i piękną bardzo córkę utracił wskutek okropnej zbrodni, popełnionej przez jednego z urzędników kanału. Nie mogąc na miejscu otrzymać sprawiedliwości, wrócił do kraju i aby zwrócić na siebie uwagę i otrzymać karę na zbrodniarza, uciekł się do tego sposobu, niemając bynajmniej zamiaru pozbawić życia ministra. Wszystko zdaje się potwierdzać powody tego zeznania i zape-

wne Mariotti zostanie skazany tylko za niedozwolone przez prawo noszenie przy sobie broni.

Kronika działalności kobiecej.

— Spis jednodniowy ludności warszawskiej, sporządzony w r. 1882, a którego część trzecia, świeżo drukiem ogłoszona, zawiera podział ludności według zajęć, — podaje kobiet utrzymujących się niezależnie na 61,593. Z tych: służących 29,918; wyrobnic 5,309; szwaczek 3614; modniarek 1,494; praczek i cerownic 1,431; oddanych zajęciom pedagogicznym 1,325. Wreszcie kapitałitek 2,619; emerytek 1,169. Zestawienie liczb wykazało, że wiek pracy produkcyjnej zaczyna się wcześniej u kobiet, niż u mężczyzn; i tak: kobiet niezależnie pracujących w wieku od lat 14 do 16 było 5% summy ogólnej, mężczyzn pracujących niezależnie w tym wieku $3\frac{1}{2}\%$. Następnie w wieku od lat 16 do 18: kobiet 8%, mężczyzn 5%; od lat 18 do 20 kobiet 8 $\frac{1}{2}\%$, mężczyzn 6%. Kobiety, mieszkających w charakterze członków rodzin przy osobach niezależnie pracujących było 140,000.

— Przy ochronie dziewcząt imienia Kronenbergów na Pradze otwartą zostanie *Szwalnia dla ubogich dziewcząt*. Miejsce na uczennic 80.

— Zapisy ś. p. Joanny Neubaurowej na instytucje dobroczynności publicznej wynoszą 21,500 rs. Prócz tego obok rozmaitych legatów prywatnych, dozorcynie ochronki otrzymały zapisy: dwie po 600, jedna 450, dwie po 300, dwie po 200 rs.

— Towarzystwo Dobroczynności miasta Łodzi zorganizowało cztery kobiece komitety cyrkulowe, z których każdy składa się: z przewodniczącej, sekretarki i dwóch pań, oprócz pewnej liczby pań będących zwyczajnymi członkami. Na ogólnem zebraniu Towarzystwa w d. 11 Listopada wybrano 32 opiekunki cyrkulowe.

— Na targ łódzki przybywa co tydzień jedna z okolicznych właścicielek ziemskich z produktami gospodarstwa folwarcznego, przewodnicząc przy sprzedaży tychże. *Dziennik Łódzki*, donosząc o fakcie, położył na doniesieniu swoim napis: „Do naśladowania.”

— Krakowskie Muzeum techniczno-przemysłowe rozpoczęło z d. 7 Listopada b. r., ośmnasty rok wykładów dla kobiet.

Na wydziale nauk przyrodniczych dr D. Wierzbicki, adj. Astronomicznego Obserwatorium Kr.; Astronomią popularną; dr Wład. Szajnocha, prof. Uniw. Jagiel.: mineralogią i geologią; dr Bostafiński prof. Uniw. Jagiel.: botanikę; dr Jaworowski, prof. gimn.: zoologią; Franc. Tomaszewski, prof. gimn.: fizykę doświadczalną; dr Bandrowski, prof. Szk. Techn.: chemią; dr Kaź. Grabowski, docent Uniw. Jagielon.: higienę popularną.

Na wydziale historyczno-literackim wykładają: przedmioty stałe: dr. Teofil Ziemia—estetykę i literaturę polską; Gustaw Eherenberg—literaturę powszechną; dr Lewicki prof. Uniw. Jagielon.—historią polską; dr Aug. Sokołowski prof. gimn. historią powszechną do 1824 r.; pedagogikę pani Ksawera Pietraszewska. Przedmioty niestałe: Maryan Dubiecki—„O stosunkach Polski w wieku XV do osad geneńskich na wybrzeżach Krymu”; tenże: „O przejściowej chwili w literaturze od Epoki Stanisławowskiej do poetów nowej szkoły.” Konstanty Jelski, kustosz zbiorów przyrodniczych Akademii Umiejętności: „Szkice z podróży, odbyte w celach naukowych do Gujany i Peru”; dr. E. Bandrowski prof. Szkoły Tech.: „O Alchemii”; tenże: „O dawniejszych pojęciach chemii wobec zapatrywań (?) dzisiejszych”; Wład. Łuszczkiewicz prof. Szkoły Sztuk Pięknych: „O harmonii barw”; dr L. Malinowski prof. Uniw. Jagielon.: „O stanowisku języków słowiańskich;“

1) W N 45 *Bluszczu* mylnie wydrukowano „*Mateci*.”

dr Fran. Bylicki: „O noworomantycznej szkole francuskiej i niemieckiej w muzyce.“

Na wydziale Sztuk Pięknych; dr I. Kopernicki, docent Uniw. Jagielloń: „Naukę o budowie i porporach ciała;“ I. Rotter, prof. techn. przemysł. Akademii: „perspektywę artystyczną;“ Arch. Wdowiszewski, kustosz Muzeum Techn. Przem.: „Historią sztuki w streszczeniu“ dla szerszej (?) publiczności. Historią sztuki obszerną dla poświęcających się sztuce. W roku bieżącym wykładają: „O szkołach: Niderlandzkiej, Carracich i Neapolitańskiej;“ tenże: „O stylu ze szczególnym uwzględnieniem artystycznego przemysłu;“ tenże: „Technikę i historią wyrobów artystycznych,“ a mianowicie przypadające z kolei na r. b. działy: „Złotnictwo, wyroby metalowe, ceramikę;“ wydział Sztuk Pięknych uzupełniony zostanie wykładami „Teorii ornamentyki i jej zastosowań.“

Oddziałów rysunkowych wolnóręcznych jest pięć. W pierwszym oddziale, malarstwa olejnego i akwarelowego a także i rysunków z gipsów i żywej natury udziela I. Styka. W drugim oddziale rysunków z gipsów i wzorów p. J. Siedlecki. W trzecim oddziale rysunku z wzorów i gipsów p. Karolina Bierkowska. W czwartym oddziale krajobrazów ze wzorów udziela ją w zimowym półroczu p. Styka, Siedlecki, Bierkowska; w miesiącach letnich oddanych rysunkom z natury, oddział czwarty będzie istniał samodzielnie. W piątym oddziale naucza rysunków niedzielnych ze wzorów i gipsów K. Bierkowska.

Dla pań poświęcających się malarstwu olejnemu może być otwarty w każdym czasie oddział kompozycji.

Rysunku linearnego są dwa oddziały. W oddziale pierwszym, rysunku geometrycznego, poprzedzonego nauką geometrii z zastosowaniem do przemysłu, ornamentyki i życia codziennego, udziela dr D. Wierzbicki. W oddziale drugim rysunków, nauki lawowania, nakładania farbami—tenże.

W szkole rzeźbiarstwa modelowania w glinie udziela nauki rzeźbiarz Marceli Gujski.

W oddziale drzeworytniczym, udziela drzeworytnictwa p. Xawera Chlebowski; kaligrafi ozdoby p. L. Peszkowski.

Główny kierunek i opiekę nad wydziałem Sztuk Pięknych, ma jak zwykle Dyrektor Szkoły Sztuk Pięknych Jan Matejko.

Na wydziale handlowym rozpoczną się wykłady wtedy dopiero, gdy zbierze się przynajmniej 12 słuchaczek. Przedmiotami wykładanymi będą wówczas: Rachunkowość handlowa, wraz z nauką o miarach i wagach, prowadzenie ksiąg handlowych pojedyncze i podwójne, z nauką o wexlach i papierach publicznych, oraz korespondencja handlowa. W razie potrzeby i dostatecznej liczby słuchaczek kurs ten zostanie natychmiast rozszerzony i uzupełniony przez wykłady towaroznawstwa, geografii handlowej, zarysu ustawy przemysłowej, prawa handlowego i t. d.

Na wydziale gospodarczym wykładają się: „Systematyczny kurs gospodarstwa domowego kobiecego“ poprzedzony zarysem gospodarstwa wiejskiego w ogóle. Od Nowego Roku p. Karol Lange, członek Towarzystwa Rolniczego, uzupełni przeszłoroczne swoje prelekcje wykładami z pojedynczych działów gospodarstwa kobiecego. Dr Max Nowicki, prof. Uniw. Jagielloń, wykładają będzie: „O rybactwie krajowym i gospodarstwie rybnym.“ Inne przedmioty, nieobjęte powyższymi prelekcjami, rozpoczną się z początkiem Maja, jeżeli zbierze się dostateczna liczba słuchaczek.

Rozpoczęcie lekcy języków obcych: francuskiego, angielskiego, niemieckiego, włoskiego, zależy od zapisania się uczennic. Lekcy języka i literatury udziela nauczyciel Uniw. Jagielloń. p. Erard-Ciechowski. Lekcy arytmetyki, jak i w latach przeszłych, udziela adj. Ober. Astro. Dr Wierzbicki.

— Instytut francuski, to jest pięć połączonych Akademii Francuzkich, nie mieści dziś kobiet w gronie swoim; przeciw aż do d. 8 Sierpnia 1793 r., czyli do dnia, w którym został on zamknięty przez władzę rewolucyjną, kobiety mogły być i były członkami Akademii Sztuk Pięknych,

a mianowicie: Anna Ballayer-Coster, malarka kwiatów i martwej natury; Anna Dorota Lisiewska, w Berlinie zamieszkała malarka, której obraz: „Hulatyka oświecona przez blask pochodni,“ zjednął zaszczyt należenia do grona *nieśmiertelnych*. Dalej, już najpóźniej do godności akademickiej dopuszczonymi zostały: M-me Vigée Lebrun, do dzisiaj wysoko szacowana malarka, oraz M-me Guyard, portrecistka, ceniona też w swoim czasie. Gdy w r. 1795 Instytut w ograniczonym zakresie jako „Instytut national“ otworzonym został, kobiety nie zapukały do jego podwoi i tak-to zostało, aż do chwili bieżącej, w której kwestya ta wskrzeszona została. Czy na przykład taka Róża Bonheur z jednej strony, z drugiej kilka lat w tyl Sand, a dawniej jeszcze M-me de Staël, nie byłyby godne takiego odznaczenia? Instytut Francuzki nie mieści w żadnym paragrafie statutów swoich wykluczenia kobiety, zasługującej na ten zaszczyt.

— Dopuszczenie paryzkich studentek medycyny do internatu, to jest do posady lekarzy, stale rezydujących, w szpitalach zostało ostatecznie uprawnione przez dekret prefekta depart. Sekwany. Lekarski ten nadzór kobiet doktorów odnosi się tylko do sal kobiecych. Nominowano ich obecnie w kilku szpitalach kobiecych.

— Z Wandei rodem pochodząca panna, której w roku bieżącym paryzka Akademia Medyczna przyznała stopień doktora, M-elle Benoit, została z rozpoczęciem szkolnego roku mianowana inspektorką zdrowia dla paryzkich elementarnych szkół dziewcząt. Obowiązkiem jej jest czuwać nad zdrowotnością lokali szkolnych i innych warunków, oddziaływających na zdrowie uczących się dzieci, a mianowicie, czy nie są przeciążone pracą?

— Kommissya wyznaczona z ramienia rządu norweskiego dla zbadania stanu elementarnych średnich szkół kraju, powołała do współdziałania kobietę, Małgorzatę Rosing, wyższą nauczycielkę w rządowej szkole dziewcząt w Chrystyanii. Na zebraniu nauczycieli norweskich w Sierpniu bieżącego roku udział kobiet równał się najzupełniej męskiemu, tak w przyznaniu kobietom równych praw głosu, jak i w pracach wyznaczonych kommissyom. Występowały one w sprawie szkół dziewcząt, szczególnie szkół wyższych, które powinny zostać wzniesione w niedalekiej przyszłości. Kobiety wszystkich krajów skandynawskich, bo Szwedki, Norwedki i Duńki, miały reprezentantki swoje. Zebranie to odbywało się w Chrystyanii. Następnie podobne zgromadzenie nauczyli szkół wyższych w miejscowości Sagatun zaznaczyło się niemięszym udziałem kobiet. Sekretarka Zjednoczenia Norweskich kobiet, Ragna Nielsen, przemawiała gorąco za dopuszczeniem kobiety do wyższych szkół męzkich. Cztery głosy kobiece odzywały się kolejno za i przeciw. W ostatnim tym kierunku przemawiała Finladka, Straeng, wychodząc z tego założenia, że kobieta potrzebuje właściwej sobie nauki i ma prawo, aby społeczeństwo dało jej własną szkołę. Leży to w jego interesie, aby kobieta nie wyradzała się ze swego moralnego typu. Zaznaczając się tu rzeczą, jest, że duchowieństwo szwedzkie i norweskie, silnie przeciwnie wszelkiemu występowaniu kobiety w kierunku zwanym emancypacyjnym, bynajmniej nie opponowało przeciw temu jej udziałowi w naradach nad szkolnictwem krajowym. Nie podnosił się przeciw temu żaden głos ze strony księży, uznających snadź, że kobieta znajduje się tutaj na drodze legalnego działania.

— Krystyna Nilson otrzymała od króla Szwedzkiego order Krzyża Norweskiego z brylantami.

— O-Sata-San, młoda pisarka japońska, weszła w skład jednego z najwyższych cenionych dzienników w Tokio. Jest to pierwsza kobieta japońska, dopuszczona do zawodu dziennikarskiego, jakkolwiek kobiety autorki oddawien dawna zajmują bardzo zaszczytne i poważne stanowisko w literaturze swego kraju, a nawet im przypisywaną jest zasługa zachowania języka japońskiego w czystości, i utrzymania go przez swoje dzieła w godności literackiej, w czasach, gdy

język chiński, jako urzędowy, ciążył na nim i był dla mężczyzn językiem edukacyjnym.

— Stowarzyszenie Krzyża Czerwonego zostało na nowo zorganizowane w Serbii. Pięćdziesiąt cztery kobiety dobrej woli weszły jako ochotniczki do oddziału służby czynnej.

— Królowa Wiktoryja przyznała dwunastu angielskim Siostram Miłosierdzia dekoracją królewskiego Czerwonego Krzyża. Kobiety angielskie zaznaczyły się w tym kierunku wysokim patriotyzmem i chrześcijańskim poświęceniem w Egipcie. Gdy groziła wojna w Azji, kobiece stowarzyszenia, z paniami najpierwszej arystokracji na czele, zajęły się przygotowaniem do tego działu kampanii, który na ich część przypada, nie szczędząc z jednej strony pieniędzy, z drugiej stając w gotowości do swego ofiarniczego wyruszenia w pole.

NA OCEANIE SPOKOJNYM.

Któż zdoła odmalować morze? Zaiste, zadanie nie jest trudnem, gdy na niezmierzonej jego przestrzeni w cichym śnie drzemią fale. Należy wówczas tylko odznaczyć lekkiemi liniami łagodne wzdęcia fal, uzupełnić je barwą szmaragdową i dorzucić następnie do niej odcień purpurowy, jeżeli niebo nie jest zupełnie lazurowem. Czarna masa okrętu przycieni nieco płótno, lecz białe zagłębie je rozjaśniać będą i robota w głównych zarysach jest skończona. Wszakże nierównie trudniejszym staje się zadanie, gdy choćby najbliższy wietrzyk zacznie głaskać toń słońca, nadając połyskującemu zwierciadłu wód coraz-to nowe kształty i barwy, których zobrazować, opisać, a tem mniej odtworzyć, niepodobna. Drobne, zlekką wzdęte, przeróżnej postaci fale przecinają się wówczas wzajemnie, tworząc owalne wgłębienia, w środku jasno-błękitne, po brzegach ciemniejsze. Gdy tułów okrętu, kołysząc się łagodnie, wchodzi w jedno z podobnych wgłębien, kolor jego krawędzi się zmienia, podczas gdy owo wgłębienie z błękitnego staje się żółtem lub ciemnym.

Zjawisko to trwa tylko maleńką chwilkę, gdyż jak tylko okręt popłynie dalej, tworzą się znowu złote lub czarne linie, które, znikając, przyjmują barwę szafiru.

Wpatrzmy się w te łagodne przeguby biegnące w trzy do sześciu pasm równoległe do siebie. Na przestrzeni jednego metra kwadratowego przecina się z sobą z pięćdziesiąt podobnych grup falistych, równych sobie wielkością, lecz różnych krzywizną łuków. Niekiedy silniejszy podmuch wiatru rozrywa taką grupę i pędzi ją w połamanych liniach, utrzymujących jednak i w tej zmienionej postaci, pierwotne swe węzły. Tennyson, opisując w jednym ze swych wierszy *pomarszczone morze*, musiał mieć zapewne w myśli te ścięzione delikatne brzozy, które swym współśrodkowym układem przypominają owe zmarszczki, jakie czas i troski na obliczu ludzkim złością. Prawdopodobnie francuskie słowo „ride“, oznaczające tak zmarszczki jak i łagodne falowanie morza, nasunęło poecie owo porównanie. Jakichże-to wyczerpujących studyów i jak ciężkiej pracy potrzeba malarzowi pragnącemu przenieść na płótno te przepiękne, ruchliwe kombinacje, te mnożące się do nieskończoności wzory!

Zadanie to staje się jeszcze trudniejszym, gdy kto zechce malować morze takim, jakim się ono obrazuje z tyłu okrętu, w postaci rozległej, płaszczyzny wodnej, okrawędzonej szybko wirującymi falami. Wśród błękitnej masy piętrzą się tu wirujące wzgórki, uwieńczone zsiadłą pianą, która opada na chwilę, aby się znowu na różowe światło słoneczne wynurzyć, aby ową śnieżną biel na wierzchołku drugiej fali wykolyśać. Zdaje się, że to jakaś gromada trytonów wynosi do góry swe czarujące wdzięki, przystrojone kwiatami.

Jeżeli statek wolno płynie, wtedy zwarta masa powietrza toruje sobie drogę, nie wywołując za-

dnym osobliwszych zjawisk; w przeciwnym razie linie bródz wodnych tworzą chaos nie mogący nęcić wzroku. Przy średniej jednak szybkości statku jest niewysłowioną rozkoszą oprzeć się o poręcz okrętową i przyglądać zmianom barw i kształtów wzburzonych fal wodnych. Tu zdaje się nam, że widzimy jak szumi roztopiony beryl w szafirowym puharze; opalowe krople wytryskują z jego głębi na powierzchnię, a krawędzie tego puharu obsiada skrząca się piana dyamentowych pyłków. To znowu szafirowy puhar przetwarza się w kamerę-obskurę, która naszych stożkowatych ścianach odzwierciedla ubarwiony przez słońce obłoczek. Zwykle powietrze wydobywa się z wody w postaci jednolitego słupa, niekiedy jednak pęcherzyki powietrzne, jednocząc się w całość przypominającą swym kształtem obłoki. Rzecz, zaiste, godna zaznaczenia, że pęcherzyki powietrzne, piętujące się z wody, posiadają tenże sam ustrój i barwę, co pęcherzyki wodne zawieszony w atmosferze. Niekiedy przejawiają się śnieżne płatki na morzu niejednostajne i dlatego niewywołujące twwałego wrażenia, w każdym jednak razie towarzyszą temu zjawisku przepyszne kontrasty barw. Czasem krater wrzącej szmaragdowej lawy przyjmuje kształt doskonałego koła, uwidoczniając nawet piastę i dzwona. Gdy piana wyrzucaną zostanie całą masą, rozlewa się wówczas jak woda wypływająca z rozbitego naczynia; zdaje się jakgdyby niechętnie porzuciła to, co zdobyła, to jest swe stanowisko i jednolitość. Nieraz się toż zdarza, że fale muszą długo, bardzo długo pracować, zanim ją rozbiją, rozdrobnią, zanim ją połamią w wązkie, połyskujące pasma, które do chwili zniknięcia usiłują łączyć się z sobą za pośrednictwem cieniutkich białych linii.

W inne całkiem farby musi zaopatrzyć swą paletę malarz, gdy mu chodzi o zobrazowanie morza w czasie nocy.

Pewnego wieczora, tak ciemnego, że nie mogłem rozpoznawać odległości, oparłem się o krawędź okrętu. Przede mną rozpościerało się morze czarne, nieskończone, będące wiecznym odbiciem osłoniętego krepą sklepienia niebios. Wtem z topieli wód wynurzyły się fosforyczne światełka; czy to gwiazdy, których napróżno poszukiwałem w górze, spadły w słone fale? Zarówno wielkość tych światełek, jak i blask ich dopełniały tego złudzenia. Jedynym nieodpowiadającym tej scenie elementem był ruch, w jakim się całość przedstawiała, ruch, który jednak nie osłabiał wrażenia, lecz, przeciwnie, nadawał mu pewną nieskończoność, głębokość. Wydawało mi się, że mój wzrok i czucie nabrały niewysłowionej nadzwyczajnej siły, że dostrzegam szybki pęd ziemi pod moimi stopami, że mogę śledzić gwałtowny, błyskawiczny lot gwiazd w przestworze. Zjawisko to było tak wspaniałem, majestatycznym, że zapomniałem o rzeczywistości, przenosząc się w krainę marzeń. Około północy światło, którego nie można było dostrzegać na niebie, wyrzuciło się znowu z wody. Każda fala błyszczała połyskującym blaskiem na swym grzbiecie, a horyzont wydawał się kolosalnym kołem płynnego ognia.

Innego znowu wieczora, gdy żadna chmurka nie osłaniała wiekiustych dróg ciał niebieskich, księżyc swemi srebrzystymi promieniami wytworzył równie piękny, jak i oryginalny obraz. W niewielkiej odległości od okrętu ukazało się piętnaście może, lub dwadzieścia odbić ziemskiego satelity, które jakkolwiek nieco pomięte, lecz mimo to wielce wyraziste, kołysały się każde z osobna na falach. Oko, śledząc tę połyskującą złotem wstęgę, zatrzymywało się, to na jednej, to na drugiej fali, gdzie zjawisko znika-

ło. Błyszczące tarcze księżycowe rozczepiały się tam podczas ruchu ku górze na grubsze i cieńsze linie, rzucające całe snopy iskier gasnących z chwilą, gdy fala ku dołowi opadała, scena ta uwidoczniała z kolei bitwę morską. W jednej chwili okręty zdawały się bić z dział, w następnej chwili formowały się w szuk bojowy, dla podtrzymywania ognia nieregularnego. Nawet na płótnie najgenialniejszego mistrza sztuki malarzkiej obraz podobny odtworzonym być nie może, gdyż linie i farby nie zdołają nigdy zobrazować ruchu. Na krańcach widnokregu widniała niewielka płaszczyna, gdzie blaski złota i srebra walczyły z sobą o lepsze. Długie, równoległe bródz przecinały powierzchnię i zdawały się być rezultatem pracy dziennej ciepłego oracza głębin morskich.

Najpiękniejszym jednak zjawiskiem, jakie obserwowałem, był zachód słońca, w czasie przepływu naszego statku przez strefę zwrotnikową. Gdy słońce zbliżyło się do horyzontu, zesłiznęło się szybko ze sklepienia niebieskiego i znikło naraz za wysepką obłoków, którą jakieś czarodziejskie ręce z mokrej topieli zdawały się wydobyc. Dwakroć jeszcze światło gwiazdy dziennej przebiło tę ciemną oponę, nie błyszcząc wszakże jaskrawo, oslepiająco, lecz, rozewając łagodny złotawy blask, aż w końcu król dnia okrył się ciemnym płaszczem i zniknął w otchłaniach oceanu. Nie wszystkie jednak ślady jego królewskiego istnienia zagasiły, jakkolwiek ognisty rydwan zapadł gdzieś w ciemne osłony. Szaty królewskie, obramowane złocistą frendzlą, przybrały odcień płowo-zielony na tle pomarańczowo-purpurowem. Trwało to tylko chwilę, barwy zaczęły zwolna blednąć i wkrótce nie pozostało z nich nawet cienia. Sądziłem, że to już epilog zjawiska; gdy jednak wzniósłem oczy w górę, musiałem je zatrzymać na sześciu ostro zakończonych, zabarwionych cielisto słupach, które w punkcie, gdzie znikło słońce, sterczały na firmamencie.

Przedemną rozpościerało się wówczas purpurowe morze, oddzielone od atmosfery na zachodzie tak wyraźnym łukiem, że przez chwilę nie mogłem odróżnić fałszywego horyzontu od prawdziwego. Po upływie krótkiego czasu niewidzialne dłonie roztoczyły przede mną czarodziejski obraz zdający się należeć do innego świata. Czyżby to było powtórzeniem się wizji Mirzy? Tyż samo przecież zjawisko przedstawiło się duchowemu oku arabskiego marzyciela, jako archipelag błogosławionych; nawet *małych błyszczących jezior pomiędzy wyspami* nie brakowało tutaj, gdyż białe fale wypełniły przestrzeń pomiędzy ciemnymi przestworami złudnych wysp. Traf wzmochnił jeszcze wrażenie. W pewnej odległości szybował ponad morzem ptak i zdawał się swemi skrzydłami pryskać pianą morską na niematerialne brzegi. Niepotrzeba zbyt wygórowanej wyobraźni, aby brzegi te uposażyć w to wszystko, co ziemia posiada najpiękniejszego, oraz zaludnić je świętymi, przechadzającymi się w promienistych szatach, pomiędzy wonnemi kwiaty, wpośród najpiękniejszych drzew i krzewów.

Wspaniałem, ale równie znikomem, jak wszystko, co piękne na ziemi, było owo czarujące zjawisko. Obrazy jego zaczęły rozplýwać się, barwy blednąć i po chwili wszystko znikło. Płomieniste tylko słupy błyszczały jeszcze na oka mgnienie, stając się podobnemi do zorzy północnej, nie tyle z barwy ile z ustroju. Nie zbladły one, lecz ściemniały, przyjmując zrazu barwę purpurową, przechodzącą w brązowo-czerwoną, a następnie w ciemno-brunatną, a potem zaginął i znikomy ich cień i noc rozpostarła na tronie

niebieskim swe panowanie, chociaż pierwszej jego chwili dostrzedz nie zdołałem.

Niemniej przepyszny był zachód słońca, jaki później obserwowałem. Zbliżenie się, gwiazdy do oceanu nie wywołało tu żadnej niezwykłej gry kolorów, lecz później odtworzyło się jakkolwiek niezupełnie identycznie, zjawisko purpurowego oceanu z archipelagem ciemnych wysp. Zaledwie zagasiła górna krawędź tarczy słonecznej, w niewielkiej odległości od miejsca jej zniknięcia z lewej nieco strony, powietrze, dotąd całkiem przejrzyste zaczęło mętnieć, przyjmując coraz ciemniejszą barwę, aż w końcu wyniosły słup fioletowych płomieni wystrzelił na niebie. Po drugiej stronie firmamentu wystąpiły gęste mgły błyszczące, jak konający delfin. Pomiedzy temi dwoma zjawiskami wznosiły się, wsparte na złotym piedestale promieni zachodzącego słońca, dwa równoległe od siebie różowe słupy, podobne sobie kształtem, wielkością i średnicą.

Jak złota kopuła nad katedrą Ś-go Pawła, tak nad kopułą niebieskiej świątyni błyszczała pełnia księżycy, który swem światłem dzień przedłużał. Obok królowej nocy skryła się rodzina Oryona, oraz inne uprzywilejowane konstelacje szlachty gwiazdzistej, mające ten mianowicie przywilej, że świecą obok swej władczyni. Z owej mgły ciemnej wybiegły naraz dwie wysmukłe linie w kierunku do fioletowego słupa, i do jednej z różowych kolumn. Tuż obok przejawiał się trójkąt, wytworzony z żółtych obłoków, zupełnie równoboczny, bez śladu mglistych fendzli po brzegach. Obraz ten odbijał ostro i wyraźnie od barwowego sklepienia niebios i w jednej chwili zniknął.

Ten ustrój linijny oraz równoległy układ obłoków, jak niemniej załamywanie się tychże w rozległe masy, jest zjawiskiem typowem na niebie zwrotnikowem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

We wszystkich księgarniach znajduje się do nabycia dzieło pod tytułem:

ROZRYWKI DLA MŁODOCIANEGO WIEKU

obejmujące:

Powieści, poezye, podróże, literaturę i rozmaitości

przez

SEWERYNĘ PRUSZAKOWA

(DUCHYŃSKĄ)

w 4-ch tomach

Cena egzemplarza rs. 2, z przesyłką rs. 2 kop. 50

W oprowie rs. 3, z przesyłką rs. 3 kop. 50.

Skład główny u M. Glücksberga

Wydawcy „Bluszczu“.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 16-ty powieści pod tytułem: **Kora**, przez Mrs Forrester.

TREŚĆ. Siła i słabość uczucia, przez M. Ilnicką. — Bez serca, obrazek z życia, przez M. Rossa, (dokończenie). — Odczyty na Osady rolne I. — Nowiny paryskie, (dokończenie). — Kronika działalności kobiecej. — Na Oceanie Spokojnym, przez W. Niewiadomskiego.

Dodatek obejmuje: Arkusz 16-ty powieści pod tytułem: **Kora**, przez Mrs Forrester. — 38 wzorów ubiorów i robot wraz z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycją stołu.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 26

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 6 Ноября 1885 года.

Poło-
wa po-
krycia tua-
letowej podu-
szki, saszetki i t.
p. ścięciem płaskim
i hiszpańskim.

Rycina Nr 1.

Haft wykonany na atlasie ko-
loru „vieil'or“, różową i niebieską
filozelą, oraz cienkim złotym sznurecz-
kiem. Po przeniesieniu deseni u atlas,
podłożony cienkim szyrtyngiem, trzeba ob-
wieść podwójnie kontury deseni cienkim zło-
tym sznureczkiem i haftować, obejmując go,
ścięciem dzierganym, błękitnym i różowym je-
dwabiem, przyczem z ze-
wnętrznego sznureczka ro-
bia się pikoty i gdzie można
zaczepiają jedne o drugie.
Następnie haftuje się musz-
ki ścięciem płaskim, różo-
wym i błękitnym jedwa-
biem, wycina się atlas po za
deseniem i haft przymoco-
wuje ostrożnie na koloro-
wym pluszu, mającym słu-
żyć jako pokrycie podusz-
czki.

Teczka do fotografii.

Rycina Nr 2. Deseń pierw str.
tabl. Nr VI, fig. 23.

Okładka teczki zrobiona
z grubej tektury, pokryta
wewnątrz pasowym atla-
sem, a na zewnątrz szarym
żaglowem płótnem, ozdobionem monogramem
i haftem podług fig. 23. Po przeniesieniu dese-
niu na płótno, haftuje się pasowym kordonkiem,
ścięciem płaskim, łańcuszkowym, gałązkowym,
supelkowym, pocztowym i w rybią łuszczykę. po-
krywa się niem obie okładki, połączone pasem
takiegoż płótna, na atlasowej podszewce i obej-
muje brzegi pasową wstążeczką; także wstążecz-
ki przytwierdza się do okładek, do związywania
teczki.

**Wzór haftu na okładkę notesu, ścięciem pł-
skim, gałązkowym i pocztowym.**

Rycina Nr 6 i 7.

Haft wykonany na atlasie lub jedwabnym rep-
sie, różnobarwnym jedwabiem, ścięciem płaskim,
gałązkowym, łańcuszkowym, supelkowym i po-
cztowym.

Kapelusik dla dziewczynki od 3 do 5 lat.

Rycina Nr 10.

Sztywny fasonik kapelusika, ma główkę z przo-
du 11, z tyłu 8 centim. wysoką, rondko z przodu
rozcięte, 7 cent. szerokie,
z tyłu 3 cent., rondko to
pokryte z wierzchu i ze
spodu skośnym, marsz-
czonym, ciemno-pasowym
pluszem, główka pokryta
bufiasto karbowanym mo-



Nr 6 Haft na okładki notesu
płaskim, łańcuszkowym i po-
cztowym ścięciem



hero-
wym ma-
teryałem,
przerabianym.
srebrną nitką
Przybranie stano-
wi kokarda z krem-
owej atlasowej wstążki,
2½ centim. szerokiej, dwie
ozdobne spilki z tyłu i jedna
z prawej strony.

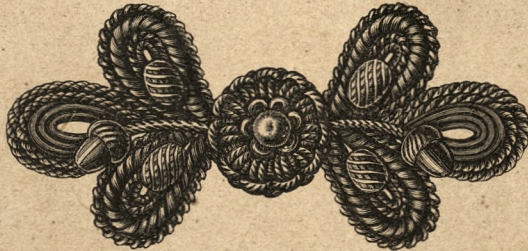
Kapelusik dla dziewczynki do roku.

Rycina Nr 11.

Główka zrobiona ze sztywnej gazy i pokryta
żółtawem w kolorowy deseń crêpe-de-chine,
podłożonym muslinem i ufałdowanym z przodu
i z tyłu; z tyłu formuje ma-
ły karczek, podszyty 1½ c.
szeroką uplisowaną wstąż-
ką i pokryty białą koronką.
Podniesione nad czołem, 7
cent. szerokie rondko z żół-
tawego atlasu podwójnie
złożonego, zmarszczonego
z przodu 2 razy w odstęp-
ie 1½ centim., przyczem każde
zmarszczenie przyszyte do
drotu, jak karczek podszy-
te wstążeczką, pokryte ko-
ronką i z przodu powygina-
ne; pod rondkiem garniro-
wanie z tiulu oszytego ko-
ronką i pukielków z wążi-
tkiej wstążeczki, kokardy
i wiązanie ze żółto-różowej,
3 cent. szerokiej aksamitnej
wstążki, dopełniają kape-
lusika.



Nr 3. Prze-
pięcie ze
sznurka atla-
sowego, ½
wielkości
naturalnej.



Nr 2. Przepięcie ze sznurka atlasowego. ½ wielkości naturalnej.



Nr 4. Prze-
pięcie ze
sznurka atla-
sowego, ½
wielkości
naturalnej.



Nr 5. Teczka do fotografii. Wzór pier. str. tabl. Nr VI, fig. 23

Fartuszek z satinety.

Rycina Nr 24 i 25.

Na fartuszek trzeba ukrajać 60 cent. szeroki,
a 54 centim. długi kawałek niebieskiej satinety.
osyty u dołu 13 cent. szeroką koronką, cerowa-
ną na siatce kolorową bawełną i dwoma szlacz-
kami haftowanymi podług ryc. 25 brązową i błę-
kitną bawełną na kanwie. U góry fartuszek mar-
szczy się pięć razy w odstęp-
ie 1½ cent., przyszy-
wa się do niego napierśnik 22 cent. szeroki, a 11
cent. długi, osyty koronką i szlaczkiem, zmarsz-
czony dwa razy do 10 cent. Do wiązania błęki-
tne, 65 cent. długie wstążki.

Kołnierzyk stojący.

Rycina Nr 26.

Kołnierzyk 40 cent. długi, a 5 cent. szeroki,
z szarego aksamitu na atlasowej podszewce, przy-
brany zębami haftowanymi na tiulu sznelą i pe-
rełkami koloru „plomb“. Górny brzeg kołnie-
rzyka osyty większymi perełkami.

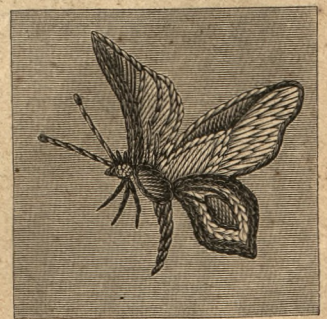
Kołnierzyk stojący.

Rycina Nr 27.

Kołnierzyk 39½ c. długi,
a 4 centim. szeroki, z po-
dwójnie złożonego koloru
gliny atlasu, ze sztywną



Nr 8. Patka do kapelusza r. 15 płaskim ścięciem. Wielkość naturalna.



Nr 7. Haft na okładki notesu
płaskim, łańcuszkowym i po-
cztowym ścięciem.

merlą we środku, haftowany białą sznelą i brązowymi perełkami.

Szlaczki do dziecinnych sukienek, fartuszków i t. p. arzyżowym i pocztowym haftem.

Rycina Nr 33 i 34.

Szlaczki te haftują się na kanwowej taśmie, zakończonej po obu stronach pikotami. pasową i błękitną bawełną, ścięciem krzyżowym i pocztowym, krzyżowym na dwóch nitkach, a pocztowym stosownie do wzoru.

Poduszka haftowana do oparcia głowy.

Rycina Nr 35.

Miękka, 31 cent. w kwadrat mająca poduszka. pokryta pluszem oliwkowego i palonej cegły koloru, a ozdobiona haftowaną gałązką kwiatów, umieszczoną tak, aby przykrywała zeszycie pluszu. Kwiaty wycinają się z jasnego oliwkowego i palonej cegły atlasu. liście z brokateli przylepia się na pluszu, otacza się odpowiedniego koloru sznelą przymocowaną poprzecznymi ścięgami jedwabiu, liście zaś ciemno-pasowym jedwabnym sznureczkiem, pozostałe części haftu wykonane oliwkową i kolorem palonej cegły sznelą, krętą przedzą, złotymi niemi, oraz oliwkową i palonej cegły filozelą, ścięciem płaskim, supełkowym i pocztowym. Po wykonaniu haftu trzeba podszyc poduszkę atlasem koloru palonej cegły, obszyć takimiż jedwabnym sznurem, układając zeń węzeł na każdym rogu i przyszyć podobny sznur do zawieszania poduszki; końce sznura ułożone są w pętle i przepięte pękiem bombelków i kwastów z różnobarwnego jedwabiu i włóczki oliwkowego i palonej cegły koloru. Dwie strony poduszki oszycie pasmanteryjną frendzlą, zakończoną kwastami i bombelkami.



Nr 13. Suknia wieczorowa z satin-merveilleux i jedwabnej gazy. Opis pierw. str. tabl.



Nr 10. Kapelusik dla dziewczynki od 4 do 5 lat

Nr 11. Kapelusik dla dziewczynki do roku



Nr 17. Kapelusik aksamitny. Opis odwr. str. tabl.

Nr 18. Kapelusik aksamitny. Opis odwr. str. tabl.



Nr 14. Kostium sukienki przybrany astrachanem. Przód. (Do ryc. 12 w Bl. Nr 45).

Fartuszek z wszywką i koronką szydełkowej roboty.

Rycina Nr 36, 37 i 23.

Fartuszek zrobiony z żółtawej lnianej gazy, przybrany wszywką i koronką, których wzór podany na ryc. 36 i 37. Na fartuszek ukręcając 68 cent. szeroki, a 52 cent. długi kawałek, u góry ułożyć w fałdy do 22 centim. szeroko i podszyc od spodu, przyszywszy w pierw ufałdowany napiersnik, 3 1/2 cent. szeroki paskiem materiału; u dołu zaś przyszyć wstawkę, potem 5 c. szeroki obręb i oszyć koronką. Na napiersnik kraje się 12 cent. długi, a 24 cent. szeroki kawałek i oszywa u góry trochę węższą koronką; do wiązania pasowe atlasowe wstążki. Wszywka robi się z bawełny Nr 50, jak następuje: Kolej 1; 17 ocz. powietrznych, robiąc z ostatnich 15 kółeczko, zczepione 1 ścis. ocz., 2 pow. ocz., zaczepić pierwsze z 17 ocz., 11 słup., z których 2 i 3, 5 i 6, 8 i 9 przedzielone 1 pikotem (t.j. 4 pow. ocz. i 1 ścis. ocz. w pierście z nich) o następne 7 ocz. kółeczka, od * powtarzać. Kolej 2; Z drugiej strony pierwszej kolei powracając, 1 pikot, potem ciągle: 12 słup., z których 3 i 4, 6 i 7, 9 i 10 przedzielone 1 pikot., o wolne jeszcze 7 pow. ocz. kółeczka, na końcu 1 pikot i 1 ocz. ścis. w pierwsze ocz. 1 kolei. Kolej 3: 1 podw. słup. w pierwszy słup. 1 kolei, 3 o. pow., * 2 razy naprzemian: 1 ścis. ocz. w środkowy z 3 słup., za najbliższym pikotem, 7 pow. ocz., ostatnimi 7 pow. ocz. wyminąć 2 pik., od * powtarzać; na końcu 3 pow. o. 1 podw. słup. w drugi pikot. Kolej 4 jak poprzednia, tylko że w oczka 2 kolei. To co zrobione, stanowi połowę koronki, z obu stron tej koronki robi się jeszcze 1 kolej ciągle naprzemian: 2 ścis. ocz. przedzielone 1 pik. o najbliższe 7 ocz. i 7 ocz. pow. Druga połowa robi się tak samo, jak pierwsza, tylko że ostatnia kolej łączy obie połowy i dlatego robi się zamiast 7 pow. ocz., 3

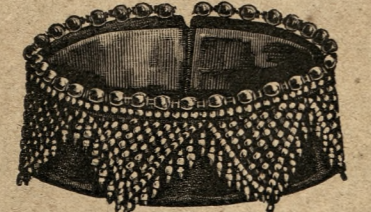


Nr 28. Ubranie dla chłopczyka od 7 do 9 lat. Krój i opis pier. str. tabl. Nr II fig. 9-17.

Nr 29. Okrycie dla dziewczynki od 2 do 4 lat. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 39-45



Nr 19. Fartuszek z kolorowej satynki. Krój i opis pierw. str. tabl. Nr V, fig. 22



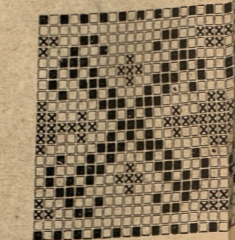
Nr 26. Kołnierzyk stojący.



Nr 23. Fartuszek przybrany wszywką i koronką szydełkowej roboty. (Do ryc. 36 i 37).



Nr 21. Fartuszek dla dziewczynki od 3 do 4 lat. Krój wzór i opis pierw. str. tabl. Nr III, fig. 18 i 19



Nr 25. Szlaczek do fartuszków



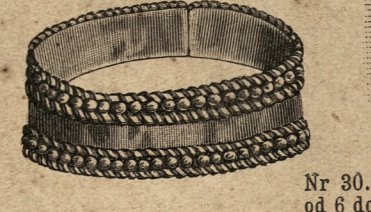
Nr 22. Fartuszek dla dziecka od 2 do 3 lat. Krój wzór i opis odwr. str. tabl. Nr X, fig. 46-49.



Nr 24. Fartuszek z kolorowej satynki. (Do ryc. 25).



Nr 20. Fartuszek batystowy. Opis odwr. str. tabl.

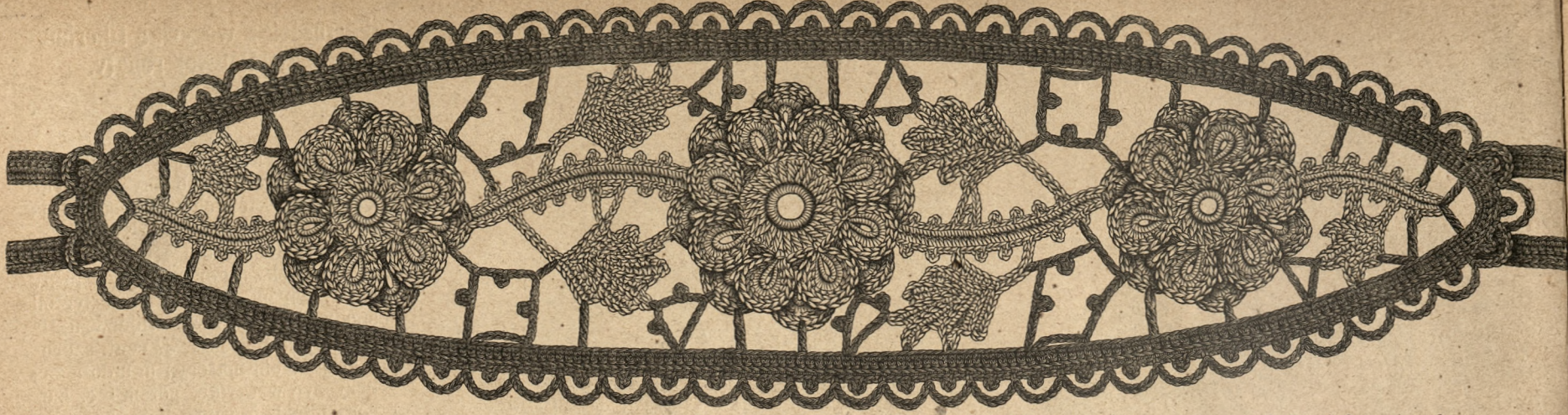


Nr 27. Kołnierzyk stojący.



Nr 30. Sukienka dla dziewczynki od 6 do 8 lat. Przód. (Do r. 12). Krój i opis odwr. str. tab. Nr VII, fig. 24-31.

Nr 31. Paltocik dla chłopczyka od 3 do 5 lat. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 32-38.

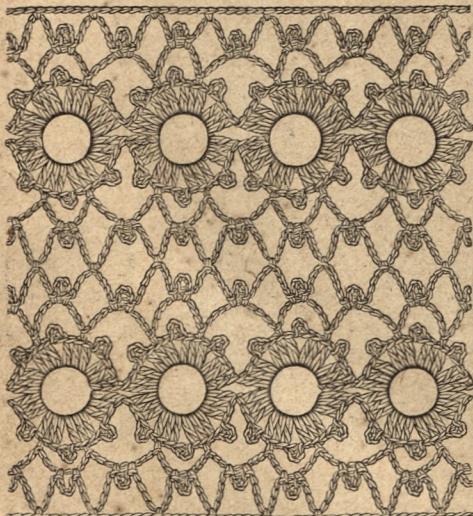


pow. ocz. i 1 ścis. ocz. w odpowiednie z 7 ocz. pierwszej połowy i 3 ocz. pow. Z obu stron wszywki robi się po jednej kolei jak następuje: ciągle naprzemian 1 ścis. ocz. o najbliższe 7 pow. ocz., 5 pow. ocz. Koronka do oszycia napierśnika robi się jak wszywka, opuszczając tylko u góry 3 ostatnie koleje. Koronka do fartuszka robi się w poprzek, na założeniu 23 ocz. Kolej 1: Najbliższe 15 ocz. opuścić, 2 ścisłe ocz. przedzielone 1 pikotem, 7 pow. ocz., 6 ocz. opuścić, 2 ścis. ocz. przedzielone 1 pik. w następne ocz. Kolej 2: 2 razy naprzemian: 7 pow. ocz., 2 ścis. ocz. przedzielone 1 pik., w pow. ocz. za pik. poprzedniej kolei. Kolej 3 do 6, jak poprzednia, tylko na końcu 6 kolei * 17 pow. ocz., z ostatnich 15 zrobić, za pomocą 1 ścis. ocz., kółeczko, 2 pow. ocz., zaczepić pierwsze z 17 ocz., 11 słu. z których 2 i 3, 5 i 6, 8 i 9 przedzielone 1 pik., o najbliższe 7 ocz. kółeczka, od * 2 razy powtórzyć. Kolej 7: 1 pikot, potem 3 razy 12 słu., z których 3 i 4, 6 i 7, 9 i 10 przedzielone 1 pik., o wolne jeszcze 7 ocz. najbliższego kółeczka poprzedniej kolei, potem 1 o. ścis. w najbliższe ocz. ścis., a dalej robi się jak kolej 2. Kolej 8 jak 2, potem 3 pow. o., * 2 razy naprzemian: 1 ścis. ocz. w środkowy z 3 słu. za najbliższym pik. 7 pow. ocz. wymijając ostatnimi oczkami 2 pikoty, od * jeszcze 1 raz powtórzyć, potem 6 razy naprzemian: 1 ścisłe ocz. w środkowe z 3 słu., 7 pow. ocz., † 2 pik. opuścić, 2 razy naprzemian: 1 ścis. ocz. w środkowy z 3 słu., 7 o. pow., od † jeszcze raz powtórzyć, tylko zamiast ostatnich 7 pow. o., zrobić 3 pow. o. 1 ścis. o. w ostatnie o. 4 kolei, 3 pow. o. 1 ścis. o. w ostatnie ścis. o. 2 kolei. Kolej 9: 3 pow. ocz., 13 razy naprzemian: 2 ścis. ocz. przedzielone 1 pik., o najbliższe 7 ocz. pow. poprzedniej kolei, 7 pow. ocz., tylko na końcu zamiast 7, robi się 3 pow. ocz., potem 1 słu. podw., a dalej jak kolej 2, tylko zamiast pierwszych 7 ocz., 3 pow. ocz. Dalej powtarza się ciągle 2 do 9 kolei i przy każdym powtórzeniu ostatniej kolei, zamiast pierwszego łuku z 7 pow. o. robi się tylko 3 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w przeciwną 7 pow. ocz. i 3 pow. ocz. Z jednej strony koronki robi się jedna kolej podłużnie: 1 ścis. ocz. o 7 pow. ocz. i 4 pow. ocz.

Szlak do serwety krzyżowym i pocztowym ściegiem.

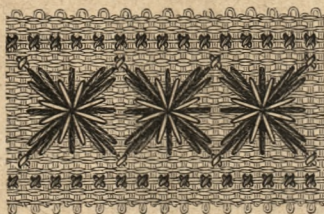
Rycina Nr 38.

Szlak ten haftuje się na ażurowej

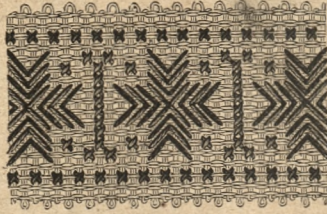


Nr 36. Wszywka szydełkowa do ryc. 23.

Nr 32. Przepięcie do firanek szydełkową robotą. Połowa wielkości naturalnej.



Nr 33. Szlaczek do sukienek dziecięcych, fartuszków i t. p. krzyżowym i pocztowym ściegiem.



Nr 34. Szlaczek do sukienek dziecięcych, fartuszków i t. p. krzyżowym i pocztowym ściegiem.



Nr 35. Poduszka do oparcia głowy.



Nr 38. Szlak do serwet i t. p. ściegiem krzyżowym i pocztowym.

kremowej tkaninie, różnobarwną włóczką i filozelą i ciemną sznelą. Najpierw haftuje się środkowe kwadraciki skośnym mijanym ściegiem (każden ścieg na 2 nitkach) oliwkowej i palonej cegły kolorem włóczki, oraz gwiazdki ciemno-pasową sznelą w dwóch cieniach i złotym sznurkiem, a po obu stronach proste linie ściegiem łańcuszkowym, brązową włóczką. Skośne kwadraciki węższych szlaczków haftują się długimi ściegami, jasno i ciemno błękitną włóczką; krzyżyki oliwkowym jedwabiem; po zrobieniu prostej linii ściegiem łańcuszkowym, haftują się ząbki długim ściegiem, ciemną i jaśniejszą pasową sznelą i oliwkową włóczką; środki zaś ściegiem pocztowym, sznelą i jedwabiem koloru palonej cegły w dwóch cieniach.

Przepisy gospodarskie.

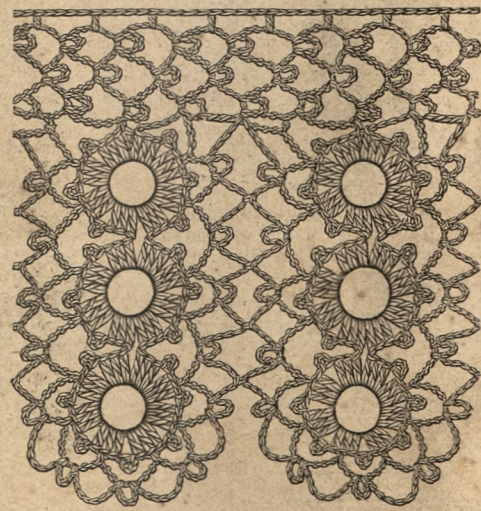
Wątróbka cielęca faszzerowana jałowcem.

Obciągniętą z błonki wątróbkę wymoczyć w mleku z godzinę, przez co zbieleje i napeczniaje, włożyć w rondel w rumiane gorące masło i dusić na mocnym ogniu 20 minut. Wtedy wyjąć z rondla, mieć przygotowany farsz z bułki tartej — dużo masła i kilka ziarenek tłuczonego jałowcu — nadkroić wątróbkę kilka razy, przełożyć płasko tym farszem, złożyć mocno, całą obsypać mąką i włożyć jeszcze raz w uformowany sos, posolić, polać parą łyżek dobrej kwaśnej śmietany i dusić jeszcze małe pół godziny, nie więcej, bo stwardnieje. Cebuli kłaść już nie można, bo jałowiec nie zgadza się z cebulą.

L. C.

Obiad na Niedziele.

1. Rosół z francuzkimi kłuskami.
2. Paszteciki w naleśnikach.
3. Sztukamięsa z chrzanem ze śmietaną.
4. Pieczeń cielęca z sałatą z jarzyn.
5. Szarlotka z jabłek.



Nr 37. Szydełkowa koronka do ryc. 23